

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



TOM] III

obejmujący
zeszyty 13—18

oraz

Album portretów
Serja III.

CENA zł. 3.

.....

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

Roznosicielka wody.

<http://rcin.org.pl>

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI

XVIII, XIX i XX.



DALSZA
PODRÓŻ
NA
ZACHÓD.

(1885 r.)

Piemont, Sabaudja, Szwajcarja,
Nareńja, Holandja, Belgja, Francja,
Anglja z powrotem przez Paryż do
Nizy i do Warszawy.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

.....

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
(w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
..... i WOLFFA
1923_r.

Zeszyt 17.

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

Dalsza podróż na Zachód.

Piemont, Sabaudja, Szwajcarja, Nadreńja, Holandja,
Belgja, Francja, Anglja,

z powrotem przez Paryż do Nizy i do Warszawy.

Dnia 27 czerwca 1885 roku, wstawszy o świcie, po wczesnem śniadaniu, ubrany w czarną marynarkę cienką, z paltem letniem przewieszonem przez ramię, w kapeluszu panama, z lornetą i rewolwerem w kieszeni, oraz lekkim sakwojażem w rękę, wyszedłem z domu pieszo na przedmieście *Nicei* — *Riquier*, na pociąg kolei, odchodzący o godzinie 6 rano do Turynu, gdzie wieczorem miałem przybyć na nocleg.

Przy pięknej pogodzie słonecznej kurjer genueński mknął szybko wybrzeżem *Rivieri*. Jej bogactwo roślinne w tej porze roku, na południowych stokach Alp nadmorskich i Apenin zachodnich, występowało w całym przepychu. Stare gaje oliwne, lasy kasztanowe, bujne ogrody kwieciste z sadami pomarańcz i cytryn otoczone agawami, powódź róż wielobarwnych, cyprysy wysmukłe, palm korony wachlarzowe ocieniały przylądki skalne i zatoki morza lazurowe. Ich blask barwny po ciemni czarnej tuneli jaśniał w całej krasie tęczęwej. *Villafrankę*, *Monako*, *Mentonę* i granicę francuską pod *Vintimilią* przebyliśmy pośpiesznie. Dalej przez *San Remo*, *Albengę* i *Noli* u stóp Apenin nadmorskich pociąg nasz przybył do *Savony*, gdzie zatrzymał się dłużej. Tu, po obiedzie w południe, przesiadłem się na linię boczną kolei, wiodącą przez *Millesimo* i *Carmagnolę* do Turynu.

W nowym pociągu, w przedziale klasy III-ciej podóżni zrobili mi uprzejmie wolne miejsce przy oknie. Otworzyłem pakiet z pysznymi czereśniami — lecz nagle ujrzałem ogromną łapę ludzką sięgającą mi przez ramię po mój deser. Obejrzałem się, i za niską przegrodą przedziału sąsiedniego ujrzałem draba ogromnego z głową rozczochraną, który połykał ze smakiem garść moich czereśni. Sąsiedzi moi, uśmiechając się ironicznie, objaśnili mi, że ów drab to warjat, którego wiozą do domu obłąkanych, i dodali żebym się choremu nie sprzeciwiał, bo mógłbym źle wyjść na tem... Na szczęście dwaj dozorczy obłąkanego wzięli go między siebie, i usadowili zdaleka ode mnie. Po przy-

byciu na stację kolei, gdzie mieli wysiadać do sanatorium, warjat nie chciał wyjść z wagonu. Krzyczał, że jest królem włoskim, i że mu się spodobało jechać dalej. Jeden z dozorców wysiadł, ujął draba za nogi, drugi chwycił go z tyłu pod ramiona, i bardzo zręcznie wypchnęli go za drzwi. Wzięli pod ręce i poprowadzili na dworzec kolei. Pociąg ruszył dalej, i niebawem późnym wieczorem wtoczył się zwolna na wspaniałą dworzec główny *Turyngu* oświetlony rześcicie.

Po przebyciu kwietnego skweru za dworcem kolei, wstąpiłem na kolację do najbliższej restauracji pana Chiaraviglio w „Hotelu Porto di Genova“ gdzie dostałem też zaraz tani pokój na nocleg. Na drugi dzień wczesnym rankiem wyruszyłem zwiedzać piękną stolicę Piemontu. Turyn jest miastem całkiem nowożytnym, zbudowanym w szachownicę regularną ulic równoległych, przeciętych pod kątem prostym wspaniałymi alejami. Jedyny zabytek wieków średnich stanowi tu ciężki zamek z XIII wieku t. zw. „Palazzo Madama“ na Piazza Castello. Katedra św. Jana Chrzciciela pochodzi z w. XV-go, a pałac królewski „Palazzo Reale“ z w. XVII. Najwięcej czasu poświęciłem zwiedzeniu Muzeum starożytności i pinakoteki Akademii nauk, oraz Muzeum miejskiego bardzo bogatego.

W redakcji „Il Corriere di Torino“ udzielono mi cennych materiałów i objaśnień o rozwoju i stosunkach dziennikarstwa włoskiego.

Piemont owa kołębka jedności włoskiej, ojczyzna wielkich mężów stanu: Cavoura, Garibaldięgo, Wiktora Emanuela, jest przepiękną krainą słoneczną. Otoczony z trzech stron kolosalnym wałem górskim Alp od północy i zachodu, oraz Apenin nadmorskich od południa — stanowi w pośrodku wielką naturalną cieplarnię, żyzną i bujną. Równiny aluwjalne i niziny porzeczca Padu górneęgo pokryte są tam plantacjami ryżu, kukurydzy, pszenicy i t. p. Lasy górskie i bujne pastwiska, zagospodarowane i eksplotowane wzorowo stanowią wielkie bogactwo tej krainy o starej kulturze. Oświata też stoi tam bardzo wysoko.

Po dwudniowym pobycie w stolicy Piemontu, dn. 30-go czerwca we wtorek, ruszyłem w dalszą drogę, nabywszy bilet wprost do Genewy. Pociąg poranny kolei zachodniej mknął szybko doliną rzeki Riparji, wpośród wspaniałych pól złotej pszenicy, dojrzalej już do żniwa. Podczas pięknej pogody słonecznej przed południem nagle zerwał się wichęr. Niebo zasnuły chmury czarne. Błyski, grzmoty i pioruny były gwałtownie. Grad gruby wielkości orzechów zadudnił po dachach wagonów. Burza szalona przeleciała szybko, zostawiając po sobie zniszczenie wpośród pięknych pól, białą warstwę lodową na ziemi, a w powietrzu chłód.

Pociąg nasz niebawem zbliżył się do góry *Cenis*. Dziką doliną wśród skał stromych wjechał zwolna do olbrzymiego tunelu łączącego Włochy z Francją. Wspaniałą ten przekop alpej-

ski dokonany został wspólnym kosztem tych dwóch państw sąsiednich 75 milionów franków. Rozpoczęto roboty 31 sierpnia 1857 r., ukończono 17 września 1871 r. Całowita długość tunelu wynosi 12848 metrów czyli blisko 13 kilometrów. Wejście od strony włoskiej pod Bardonechio leży na wysokości 1291 m. nad poz. morza; wyjście od strony francuskiej pod Modane nieco niżej na 1158 m. n. p. morza. Wskutek tego tworzą się wewnątrz tunelu prądy powietrza bardzo znaczne. Mimo to ciepota wewnętrzna bywa tam dość wysoka, i dochodzi niekiedy do + 24° centigrada. Czas przejazdu przez tunel około 25 minut. Kolej przebiega dalej przez liczne wiadukty łukowe i tunele pomniejsze.

Sabaudja cała, w przeciwieństwie do Piemontu, to istny labirynt dolin głębokich i Alp skalistych stromych. Jestto kraina najwyżej położona w całej Europie. Góra Mont-Blanc (4810 m.) stanowi główny szczyt departamentu Sabaudji wyższej. Nad alpejską drogą, idącą z Turynu przez Suzę pod Mont-Cenis, panuje od strony Francji twierdza Grenoble (stare Gracjanopolis) zbudowana w miejscu w którym kończy się podłużna dolina Izery, wiodąca przez dolinę Tarantaise do Małego Bernarda na północ od Mont Iseran (4045 m.). Jestto najlepsza droga w całym zachodnim skrzydle Alp. Tędy przeprowadził się ongi Hanibal ze swem wojskiem (w r. 218 przed Chr.). Wódz punicki przebył góry dzielące zakręt Rodanu od podłużnej doliny Chambery z jej precudnem jeziorem, przedostał się w dolinę Izery i podążył dalej do Italji. Tamteży też prowadził Napoleon Buonaparte swe armje w dolinę Padu.

W Chambery, terażniejszej stolicy Sabaudji, pociąg kolei zatrzymuje się nieco dłużej, i biegnie dalej brzegiem wschodnim długiego jeziora Bourget. Na jego drugim brzegu biegnie w słońcu mury zamku rodzinnego gniazda dynastji Sabaudzkiej, które po oswobodzeniu Lombardji z pod jarzma austryjackiego w r. 1860 przez cesarza Napoleona III oddane mu zostało jako zapłata z całą Sabaudją.

Nasz pociąg kolei mija Aix-les-Bains słynne miejsce kąpielowe, bardzo ożywione w tej porze. Pod wieczór niebo nagle zachmurzyło się i zaczął padać drobny deszcz. Alpy sabaudzkie przybierają dziwnie ponury i smętny wygląd. Pociąg nasz przebywa most na Rodanie i pędzi dalej prawym brzegiem tej rzeki. W nocy już przybywamy na główny dworzec *Genewy*. W pobliskim hotelu dają mi pokoić czyściutki i cichy, wyborny do spoczynku po całodziennej podróży.

Nazajutrz rano, dnia 1 lipca po wczesnem śniadaniu, wyszedłem na plac przed hotelem. Ponad wysokimi domami wielopiętrowymi, w blasku wschodzącego słońca, jaśniał śnieżny szczyt olbrzymi góry Mont-Blanc. Zwróciłem kroki na przepiękny brzeg jeziora Lemanu, gdzie stały rzędem na kotwicy łodzie, białe jachty spacerowe i czarne parowce gotowe do odjazdu. Przez

Pont de Bergues doszedłem na małą wysepkę leżącą przy brytrym odpływie rzeki Rodanu z jeziora, obłożoną kamieniem ciosowym. Wśród zielonej kępy drzew, na wielkim cokule wznosi się tu posąg siedzący, pełen spokoju i powagi Jana Jakóba Rousseau, wpatzonego w przepiękny krajobraz. Na ławeczce wygodnej spocząłem tam w rozmyślaniu cichem nad losami tej szczęśliwej krainy wolności i światła, jaka się przede mną rozciągała w całym blasku swej wysokiej kultury. Podszedł do mnie pozdrawiając grzecznie stary przekupień z koszem pełnym ładnych drobiazgów pamiątkowych; nabyłem z nich kilka na podarki dla Ma i moich znajomych w Nicei. Od chłopca sprzedającego gazety kupiłem parę świeżych dzienników. Przejrzawszy je, pośpieszyłem na Rue du Rhone pod nr. 1 do redakcji wielkiego dziennika politycznego „La Tribune de Genève“ liczącego przeszło 10.000 abonentów. Redaktor i uprzejmi koledzy udzielili mi dużo gruntownych objaśnień dotyczących rozwoju i stanu współczesnego prasy periodycznej w Szwajcarii, a także w sprawie oświaty krajowej i jej reformy, będącej tam wtedy na porządku dziennym.

Szwajcaria, jak wiadomo, zajmuje miejsce pierwszorzędne w Europie pod względem oświaty ludu. Mimo to podnoszą się tam głosy żądające nowych ulepszeń i reform. Nauka szkolna początkowa w całej Szwajcarii jest obowiązująca. W Genewie obowiązkowość ta rozciąga się nawet na cudzoziemców mieszkających stale w tym kantonie. Wolno tam uczyć się w szkołach publicznych albo w prywatnych. Nauka szkolna nie jest jednak jeszcze wszędzie bezpłatna. W wielu miejscach gminy płacą za naukę swej dziatwy, a same ściągają część tej opłaty od rodziców bogatszych. Opłata owa jednak obniża się ciągle, i wkrótce będzie zupełnie zniesiona. Domaga się tego ludność i rządy kantonalne, a stara się przyspieszyć rząd federacyjny.

Wszystkie gminy szwajcarskie mają już swoje szkoły. Zwykle są to najokazalsze budynki w wioskach i miasteczkach. Często szkoły i merostwa mieszczą się w jednym pięknym gmachu. Płaca nauczycieli i nauczycielek, które coraz więcej zabierają w swoje ręce wychowanie początkowe, jest bardzo różna, nie tylko w oddzielnych kantonach, ale nawet w sąsiednich gminach. Tam gdzie płaca jest mała gmina daje nauczycielom ogród i drzewo na opał, a mieszkańcy dodają trochę zboża, ziemniaków, wina, masła, sera i t. p. Nieraz nauczyciel nie przyjmuje propozycji przeniesienia go do gminy w której płaca jest większa, ale niema dodatków drzewa i żywności. W niektórych kantonach „Towarzystwo przyjaciół oświaty ludu“ zachęca nauczycieli by szukali powiększenia swych dochodów w pszczelnictwie wzorowem, i czyni w tym względzie wszelkie ułatwienia.

Szkoły najlepiej są urządzone w wielkich miastach, jak Geneva, Lozanna, Neufchatel, Bazyela, Berno, Curich, St. Gallen i in.; najgorzej w górach wielkich, gdzie wioski są mniej ludne i w du-

żej od siebie odległości, a droga niezawsze bywa bezpieczna. Często w szkole niema podziału na klasy, gdy niema więcej nad jednego nauczyciela, lub nauczycielki. Bywa też brak kandydatów na posady w zapadłych stronach górskich. Tam szkoły stanowią największą troskę rządów kantonalnych.

Rząd kantonalny genewski podejmuje bardzo ważną reformę w nauczaniu szkolnem. Zmierza do dwóch najgłówniejszych dotychczasowych zadań szkoły: rozwoju umysłu i kształcenia charakteru, dodać trzecie bardzo ważne zadanie — wprawę do pracy ręcznej, którą młodzież robotnicza nabywa w uciążliwym terminatorstwie warsztatowem, często z uszczerbkiem moralnym i umysłowym. Rząd genewski podejmuje właśnie tę ważną reformę dla wprowadzenia jej we wszystkich szkołach ludowych, by uczynić roboty ręczne integralną częścią nauczania początkowego. W niektórych bowiem kantonach wprowadzano je częściowo tylko: do szkół żeńskich jak w Bernie, w St. Gallen do szkół zorganizowanych przez Towarzystwo oświaty, a w Bazylei do seminarjów nauczycielskich. Genewscy prawodawcy domagają się tej reformy wszędzie na wielką skalę w myśl ich genialnego współrodaka Jana Jakóba Rousseau. Głównym rzecznikiem nowej reformy szkolnej jest prezydent Rady stanu i minister robót publicznych Gavard. Pomaga mu gorliwie w tej sprawie redaktor radykalnego dziennika „Le Genevois“ Favon, były i ponownie wybrany prezydent Rady narodowej szwajcarskiej. Obu popiera czynnie sekretarz departamentu oświecenia Bonvier. Na wielkim zgromadzeniu rzeczoznawców zawodowych, odbytem niedawno w wielkiej sali Uniwersytetu w Genewie, prezydent udzielił pierwszy głos redaktorowi Favonowi, który przemawiał gorąco za nową reformą szkolną. Celem jej według niego winno być podniesienie poziomu nauki zawodowej, aby uczynić terminatorstwo fachowe lżejszem i skuteczniejszym. Głównem bowiem zadaniem nauczania publicznego powinno być wykształcenie obywateli pożytecznych dla swego kraju. Genjalny pedagog Froebel pokazał co można zrobić z inteligencją małych dzieci. Dzięki jego metodzie w ogródkach dziecięcych dochodzi się do wyników zadziwiających. Trzeba jednak, aby dzieci w szkołach początkowych nie zapomniały tego co się nauczyły w szkółce dziecinnej, aby terminator nie musiał zaczynać wszystkiego nanowo. Trzeba aby szkółka dziecięca, szkoła początkowa i warsztat fachowy tworzyły łańcuch nieprzerwany. Przez to również osiągnie się i tę korzyść, że objawi się wcześniej do jakiego zawodu dziecko okazuje większą zdolność i pociąg. Nie przeszkadza to kształcenia uczniów przez szkołę na obywateli kraju, wszystko bowiem co przyczynia się do wyrobienia pewności siebie i niezależności ekonomicznej, podnosi zarazem poczucie godności i patriotyzmu.

Prezydent rady stanu i minister robót publicznych Gavard poparł również gorąco reformę szkolną twierdząc, że nie obciąża

ona finansów państwowych. Nie chodzi bowiem aby wydawać więcej, a tylko o to aby wydawać lepiej. W gimnazjach, w szkołach wyższych technicznych, w uniwersytecie kształcą się artyści, lekarze, adwokaci, nauczyciele i t. p., ale gdzież mają kształcić się robotnicy? Dla tego trzeba też w szkołach początkowych zaprowadzić porządną i systematyczną naukę robót ręcznych. Wywody te znalazły szerokie poparcie w całej postępowej prasie szwajcarskiej.

Po zwiedzeniu muzeów starożytności i galerji obrazów dawnych i współczesnych, wybrałem się popołudniu złożyć hołd uszanowania naszemu wielkiemu pisarzowi Zygmunutowi Miłkowskiemu-Jeżowi, duchowemu przywódcy młodej Polski postępowej. Wpośród labiryntu rozległych ogrodów i willi podmiejskich, odnalazłem jego siedzibę przy Promenade St. Antoine, z napisem polskim na białej tablicy „Zagroda”. Czcigodny gospodarz, po serdecznem powitaniu, przyjął mię najtaskawiej w swoim gabinecie pracy, pokoju bardzo skromnie umeblowanym, przy biurku założonem rękopisami obok szaf obejmujących bogatą bibliotekę domową.

Znakomity pisarz (urodzony w r. 1824 w Saracei na Podolu) pomimo wieku podeszłego i szczupłej postaci miał w oczach żywych wyraz energii wielkiej i tężyzny dzielnej. Autor świetny, uczony publicysta, głęboki znawca Słowiańszczyzny południowej, gdzie długie lata przebywał, mianowicie w Belgradzie nad Dunajem; zwiedzał też Turcję, Węgry, Anglię, Belgię i Szwajcarię, w której zamieszkał stale. Krom wielce poczytnych ogólnie znanych powieści historycznych i obyczajowych, tłomaczonych na język francuski, angielski i ruski napisał „Dzieje Serbji”. W czasopismach polskich pomieszczał stale sprawozdania krytyczne o współczesnej literaturze zagranicznej i korespondencje pełne talentu i werwy.

Czcigodnemu gospodarzowi dziękowałem za łaskawe informacje listowne co do druku moich ostatnich wydawnictw. Zaraz też wyjął z biurka egzemplarz moich „Szkieców z wędrówki po Ziemiach słowiańskich” który mu przesałem po wydrukowaniu, nadmienił że je przeczytał z zajęciem, i rozpytywał mię o różne zmiany jakie zaszły na Wschodzie w ostatnich czasach. Rozmowa zesłała potem na moją podróż obecną na Zachód, przy czem otrzymałem cenne wskazówki co do tamtejszej prasy periodycznej i głównych jej przedstawicieli na polu społeczno-politycznem.

Dziękując za szacowną konferencję i żegnając się, zostałem zaproszony jeszcze na cały wieczór i przedstawiony Pani domu, osobie wielce uprzejmej i ożywionej w rozmowie, która przy kolacji zesłała na tematy ogólne. Więc o Genewie, jej uniwersytecie, polonji miejscowej, o współczesnej literaturze i sztuce, o wspomnieniach wzajemnych z podróży po krajach dawniej zwiedzanych i o stosunkach krajowych Polski. Późnym wieczo-

rem pożegnałem czcigodnych gospodarzy, odprowadzony uprzejmie ze światłem do bramy ogrodowej.

Ciemno było i cicho wpośród krętych ulic między wysokimi drzewami wielkich ogrodów podmiejskich Genewy. Pogoda i miłe ciepło wiosenne. Na szafirowym niebie jaśniały gwiazdy, a w mieście panował już spokój.

Nazajutrz 2 lipca po wygodnym noclegu i wczesnem śniadaniu zapłaciłem bardzo umiarkowany rachunek, i wyruszyłem w dalszą drogę całodzienną do *Bazyli* koleją północną. W pogodny słoneczny dzień pociąg poranny biegł zrazu brzegiem Jeziora genewskiego. Żwierciadłana toń jego wód odbijała wyniosłe zbocza Alp berneńskich, z ich grzbieciem głównym gnejsowo-granitowym. Ponad nim panował wspaniały śnieżny szczyt Mont-Blanc, królowej gór Europy. Po drugiej stronie kolei od zachodu lesiste pasmo Jury, ze szczytami Crêt de la Neige (1723 m.), Dôle (1678 m.) i Mont Tendre (1630 m.) roztaczało słoneczną panoramę przepięknych krajobrazów, z willami i wioskami wśród kwiecistych ogrodów. Przy ujściu rzeczki Veyron pociąg nasz opuścił brzeg Jeziora genewskiego, przebył dział wód porzecz Rodanu i Renu, dolinę rzeczki Orbe, pośpieszał dalej brzegiem uroczych jezior Neufchatel i Bielskiego. Pod Biel droga żelazna opuszcza dolinę wielkich jezior alpejskich, koło zboczy Mont Terrible i nad brzegami rzeki Birs idzie dalej do ujścia jej do Renu. Późnym wieczorem pociąg nasz stanął na dworcu *Bazyli*. W najbliższym hotelu dostałem tani pokój wyświeżony iście po szwajcarsku. Po wieczery i przejrzeniu gazet miejscowych, ległem zaraz na spoczynek.

Nazajutrz rano pośpieszyłem zwiedzić stare Muzeum z piękną galerją obrazów i rzeźby, oraz bogatą Bibliotekę uniwersytecką. Po popołudniu w redakcjach głównych dzienników miejscowych otrzymałem cenne materiały dotyczące rozwoju prasy niemieckiej w Szwajcarii.

Bazylea, stolica kantonu (licząca przeszło 100000 mieszkańców) położona jest na wyniosłościach po obu stronach Renu, skąd przepiękny roztacza się widok na Alpy. Na głównym placu śródmieścia mnóstwo biur emigracyjnych i kantorów żeglugi zamorskiej, z jaskrawymi afiszami, koncentruje tu ruch wychodźczy ze Szwajcarii, głównie za Atlantyk przez Amsterdam, Antwerpję, i wielkie porty francuskie.

Wczesnym rankiem 4-go lipca, pociągiem pośpiesznym, wyruszyłem z dworca Bazyli przez *Alzację* do Moguncji, malowniczą szeroką doliną Renu.

Pod Milhużą, otoczoną lasem kominów fabrycznych, pociąg nasz przekracza wielki kanał łączący Ren z Rodanem, i biegnie dalej u podnóża wschodniego pasma Wogezów. Góry te strömieni stokami zwrócone ku Renowi, w swej części południowej wznoszą się szczytami w Ballon de Sultz i Grand Ventron do wysokości 1427 metrów nad p. m.

Ich granitowe wierzchołki i zbocza, porośłe bujnym lasem, przedstawiają przepiękne krajobrazy.

W połowie drogi w południe pociąg nasz zatrzymuje się dłużej na wielkim dworcu Strasburga, nad którym panują wyniosłe wieże starej katedry gotyckiej. W gorący dzień lipcowy w wagonach robi się duszno. Na wielkiej stacji Hagenau wysiadam orzeźwić się limonadą gazową, przy bufecie obficie zastawionym biorę kilka pomarańcz, i proszę zaraz o rachunek. Gospodarz bufetu dziękując za należność przemawia do mnie — po polsku, objaśniając, że z akcentu mojej niemieczyny poznał odrazem polak. Zapytałem go skąd dostał się do Alzacji? Był to poznańczyk, który jako żołnierz pruski raniony podczas wojny francuskiej w r. 1871, po wyleczeniu się w szpitalu wojskowym, wziął w dzierżawę miejscowy bufet, ożenił się bogato z alzatką, i osiedlił się tam na stałe. Pożegnałem miłego rodaka i pośpieszyłem do mego wagonu.

Nagle dwóch drabów zastąpiło mi drogę ostro pytając: „Czy pan jesteś Johan Schultz?”

— „Nie jestem wcale żadnym Szulcem”, odrzekłem spokojnie. Popatrzyli mi w oczy badawczo i odeszli. Zająłem moje miejsce w wagonie, i opowiedziałem konduktorowi o tem dziwnem spotkaniu. Objął mnie, że tajna policja niemiecka poszukuje wszędzie zabójców jakiegoś radcy pruskiego zamordowanego niedawno przez socjalistów, i próbuje natrafić na sprawców, obserwując badawczo fizjognomje obce, oraz wrażenie wywołane nagłymi pytaniami...

Wieczorem ochłodziło się nieco. W nocy już pociąg nasz stanął na głównym dworcu *Moguncji*. Kupiłem parę świeżych gazet i w pobliskim hotelu „Mainzer Hof” zatrzymałem się na nocleg.

Rano po wczesnem śniadaniu wybrałem się na wybrzeże Renu, jasne promienne w pogodny dzień lipcowy. Ruch na przystani parowców i w kantorach Towarzystw żeglugi był już bardzo ożywiony. Miasto budziło się do pracy codziennej. Kupiłem świeże gazety poranne i usiadłem na ławce bulwarowej dla wypoczynku. W godzinę potem w redakcji „Tagblatu” miejscowego zrobiłem mały wywiad o stosunkach dziennikarskich *Nadrenji*, i otrzymałem sporo cennych wyjaśnień, które zanotowałem starannie w mojej tece podróźnej. Następnie poszedłem zwiedzić bogate Muzeum z galerją obrazów, mieszczące się w starym Zamku elektorów. Wielce interesujące są tam zabytki dawnych druków miejscowych. Moguncja, jak wiadomo, to kolebka drukarstwa europejskiego, wiekopomnego wynalazku genialnego Gutenberga czcionek składanych — owej dźwigni potężnej rozpowszechnienia książek, czasopism i dziennikarstwa, oświaty i kultury w najdalszych krainach globu. W Moguncji Gutenberg wspólnie z obywatelem tamecznym Faustem założyli pierwszą pracownię typograficzną. Z niej wyszło w r. 1455 pierwsze wielkie

dzieło drukarskie, tak zwana „Biblia Gutenbergowa”, w 2 tomach foljo bez daty. Gutenberg, po rozejściu się z Faustem, założył w Moguncji własną drukarnię, w której w r. 1461 odbito „Catholicon” Janna. Po zdobyciu i zburzeniu Moguncji przez arcybiskupa Adolfa Nasauskiego, robotnicy obu pierwotnych tłoczni rozproszyli się i roznieśli nowy wynalazek, trzymany dotychczas w tajemnicy, najprzód do Strasburga i Kolonji, a następnie do innych miast Niemiec i zagranicy. Pierwsze druki polskie wykonywano też w Moguncji, jak Kroniki Marcina Polaka i inne. Pierwszą drukarnię w Polsce założył w Krakowie Günther Zeiner w r. 1465, później drugą Swiatopełk Fiol, który drukował też pierwsze księgi słowiańskie „Ośmiogłaśnik” i „Czasosłowiec”. Pierwszą stałą drukarnię prowadził w Krakowie od r. 1515 Jan Haller bogaty mieszczanin, który przy końcu XV w. miał też własną księgarnię tamże.

Po południu wybrałem się znów na przechadzkę w piękną okolicę miasta do Neue Anlage, naprzeciwko ujścia Menu, który potężnie zasila swemi bystreimi wodami Ren, i ułatwia znacznie żeglugę parowców. Potem jeszcze pod Cytadelę, zajmującą miejsce starożytnego obozu rzymskiego z wieżą wodza Druzusa.

Po przejrzeniu gazet wieczornych w kawiarni hotelu, udałem się wcześniej na spoczynek. Nazajutrz, o świcie po obfitem śniadaniu, pośpieszyłem do przystani parowców, kupiłem bilet pokładowy, i pierwszym odchodzącym statkiem wyruszyłem wprost do Kolonji.

Dzień był pogodny, słoneczny, ciepły. Na Renie ruch bardzo ożywiony. Parowce Towarzystw żeglugi niemieckie i holenderskie, statki prywatne osobowe i towarowe, po żwawym biegu, zatrzymywały się kolejno w licznych przystaniach nadbrzeżnych dla zabrania podróżnych i ładunków. Nasz parowiec niebawem zarzucił też kotwicę w małej przystani lewego brzegu, by zabrać wielki ładunek świeżych winogron w koszach. Kapitan statku podszedł do mnie i objaśnił uprzejmie, że ładowanie potrwa czas dłuższy, i jeśli życzę sobie pośpieszyć, to mogę przesiąść się na nadchodzący właśnie parowiec innego Towarzystwa żeglugi, który się tu zatrzyma chwilowo. Trzeba tylko pośpiesznie wstąpić do kantoru owego Towarzystwa tuż obok i ostemplować swój bilet podróżny. Uczyniłem to szybko, i zdążyłem przesiąść się na piękny parowiec osobowy, który już nadpłynął, zabrawszy mnie i kilku podróżnych oczekujących nań, ruszył zaraz w dalszą drogę. Nowy statek płynął bystro. Słońce było już wysoko. Zaczynało być gorąco. Podano luncz południowy i wyborne wina reńskie prosto z lodu. Chłodzili się niemi liczni pasażerowie I-ej klasy na podwyższonym pokładzie tylnym, na wygodnych fotelach, rozkoszując się przepięknymi krajobrazami obu brzegów Renu. Wśród bujnych ogrodów i winnic, kąpiących się w słońcu, przesuwały się przed naszymi oczyma śliczne wille, wioski,

miasteczka i ruiny starych zamczysk, konserwowane starannie, otoczone niekiedy sztachetami żelaznymi dla lepszej ochrony.

Gdy parowiec nasz zbliżył się do przystani na prawym brzegu Renu, skąd wiodła droga do posągu otyłej „Germanji” na wzgórzu — gromada turystów, burszów niemieckich już pijanych, z plecakami na ramionach, zabierała się wsiąść na wycieczkę nadbrzeżną. Jeden z nich zapytał mię dość natarczywie: czy nie życzę sobie razem z nimi obejrzeć statuę? Odpowiedziałem, że nie mam czasu na wycieczki, gdyż spieszę na wystawę powszechną międzynarodową do Antwerpii. Zdziwiony tem lekceważeniem jego bogini, bursz odszedł rycząc ochryplym głosem „Wacht am Rhein!” Szczęśliwej drogi mój zuch, pomyślałem, niech cię pioruny biją razem z twoją Germanją! i wychyliłem szklaneczkę chłodnego wina, dla uspokojenia się po tem starciu z pijakiem niemieckim.

Parowiec nasz podązał z wodą szybko naprzód, i wreszcie już o zmroku zatrzymał się w wielkiej przystani *Koloñji* na lewym brzegu. Chwyciłem w rękę mój sakwojaż i podążyłem śpiesznie do pobliskiego hotelu „Rheinisch Hof”, wpośród starych kamienic oświetlonego jasno. W restauracji miejscowej kazałem podać na kolację: jajecznicę, ser holenderski, pół butelki lekkiego wina (reńskiego naturalnie) i owoce. Po przejrzeniu gazet miejscowych, pośpieszyłem na nocleg do ładnego pokoiku z balkonem na piętrze, skąd roztaczał się rozległy widok na Ren i jego brzeg przeciwny, tonący w pomroce wieczornej.

Nazajutrz rano zbudziłem się dość późno, i zaraz po śniadaniu udałem się przedewszystkiem na plac katedry. Mały on i ciasny wobec ogromu owego arcydzieła architektury gotyckiej, jakim jest słynna katedra kolońska, z kolosalnymi wieżycami, wykończonemi już zupełnie po wojnie 1871 roku. W pięciu olbrzymich nawach wnętrza katedry i licznych kaplicach wspaniałe efekty światła przyćmionego sprawiają przepyszne witraże stare i nowe. Pochowana tu leży królowa Ryksa żona Mieczysława II. Wszystkie cztery połacie placu katedralnego zajmują świetne sklepy w starych kamienicach, ze składami znanej w całym świecie prawdziwej „wody kolońskiej”, różnych właścicieli, z pierwotną firmą „Jan Marja Farina” naczela, a mogą podawać swój adres faktycznie „gegenüber den Dom”. W oknie jednego z tych sklepów za wielką szybą zwierciadlaną ustawiono misterny model przedstawiający wspaniałą katedrę w minjaturze z drzewa, wykończoną w najdrobniejszych szczegółach.

Popołudniu zaszedłem do redakcji „Koelnische Zeitung”, celem zebrania materiałów i wyjaśnień o rozwoju prasy miejscowej. Wieczorem siedząc długo na wybrzeżu Renu, przyglądałem się ruchliwemu życiu przystani, i czarownej grze barw rozległego krajobrazu w oświetleniu zachodu słońca.

Po spokojnym noclegu, w zacisznym „Rheinisch Hof”, zapłaciłem niedrogi rachunek za ubiegłą dobę 7 lipca. Idąc rano

na dworzec kolei zakupiłem butelkę świeżego mleka, kilka bułek i funt ładnej szynki westfalskiej na przekąskę w drodze. Na dworcu ruch panował ożywiony. Oczekiwano bowiem oficjalnego przejazdu następcy tronu cesarskiego czyli kronprinca niemieckiego. Kupiłem bilet klasy III wprost do Antwerpji, lecz wyjazd naszego pociągu osobowego wstrzymano dość długo. Dopiero po nadejściu telegramu o opóźnieniu pociągu cesarskiego, puszczono wreszcie nasz pociąg w drogę. Mknął pośpiesznie, by odzyskać stracony czas na wyczekiwaniu próżnem. Wzdłuż linii kolei, na przystankach i stacjach oczekiwały, widocznie już oddawna, liczne stowarzyszenia, szkoły z nauczycielami naczelnymi, przedstawiciele władz i różnych instytucyj z licznymi sztandarami i orkiestrami swojemi. Dzień był gorący. W wagonie zaczynało być duszno, więc otworzyłem okno boczne i wychyliłem się nieco. Na mój widok zaczęły grzmieć trąby, sztandary pochylać. Okrzyki Hoch! Hoch!! leciały w powietrzu od jednej grupy do drugiej... Widocznie to było niemieckie, spędzone tu urzędownie, wzięło mię za kronprinca — i wniebogłosy ryczało, wyło, kwiczało i piszczało bez końca. Zacząłem machać kapeluszem na podziękowanie za te honory. W wagonie powstał śmiech wśród pasażerów z tej pomyłki komicznej. Aż wreszcie na dłuższym przystanku jakiś oficer policji wyszedł z naszego pociągu i objaśnił obecnych że pociąg cesarski nadejdzie później, a zawiadowcy stacji kazał wystać dróżników, aby wstrzymali okrzyki ludu przedwczesne. Dalej też uciszyło się wszystko i deputacje wyczekiwały spokojnie na gościa cesarskiego.

W południe poczuwszy głód chciałem zjeść moje bułki z szynką westfalską. Rozwiązałem pakiet, lecz jakież było moje smutne rozczarowanie: śliczne różowe plastry szynki roily się białem robactwem, zapewne gąsieniczkami, które wylęgły się w ciepłe z jajeczek złożonych przez muchy w masarni. Kłąłem rzeźnika w duszy i wyrzuciłem szynkę za okno. Zjadłem natomiast bułki z mlekiem, i zaspokoilem zarazem głód i pragnienie.

Za Akwizgranem czyli Aachen, słynnym miejscem kąpielowem, pociąg nasz przebył granicę *Holandji*, i posuwał się dalej spokojnie wpośród sieci wielkich kanałów, przepysznych ogrodów uprawnych intensywnie i bujnych sadów okrytych owocem. Przebywszy most żelazny na rzece Mozie, pociąg zatrzymał się dłużej na wielkim dworcu Maastrichtu. Wysiadłem głodny spożyć śniadanie. Podano mi: świeżutkie ostrygi, porcję homara z młodą soczystą sałatą, ser holenderski, wyborne piwo jasne i owoce.

Po przebyciu granicy *Belgji*, pociąg nasz wpośród bujnych ogrodów warzywnych i sadów owocowych pędził dalej przez Hasselt i Lier w dolinę rzeki Skaldy, i przybył przed wieczorem na główny dworzec *Antwerpji*.

W przedsionku dworca na wielkiej tablicy białej widniał napis: Biuro mieszkań. Dostałem zaraz według mojego żądania

adres małego pokoju umeblowanego na sąsiedniej ulicy. Poszedłem obejrzeć go. W domu piętrowym na parterze zastałem gospodarza. Oddałem mu kartkę biurową i poprosiłem o pokazanie mojego mieszkania. Był to pokój na I-em piętrze, czystutki, świeżo wymalowany i wmyty, umeblowany starannie choć skromnie, z oknem wychodzącym na ładny podworec wypełniony odlewami z gipsu. Gospodarz mój, młody flamand średniego wzrostu, brunet, człowiek uprzejmy i miły, mówił ze mną po francusku. Miał pracownię artystyczną odlewów gipsowych, którą prowadził z pomocnikami swymi w oficynie nadole. Oddając mi klucz od mieszkania, zapytał na którą godzinę życzę sobie mieć nazajutrz pierwsze śniadanie. Zamówiłem je na 8 mą, i zarazem poprosiłem o świeżą wodę do mycia i do karafki. Wyszedłem potem na kolację na dworzec kolei, kupiłem parę świeżych gazet miejscowych, plany miasta i wystawy, po rozpatrzeniu których, wróciłem wcześniej do domu spocząć po trudach podróży.

Nazajutrz rano o godzinie 8-ej gospodarz poprosił mię do swojej jadalni nadole. W dużym pokoju z oknami od podwórza, na stole dębowym nakrytym śnieżnym obrusem, zastawione już było śniadanie w dzbankach porcelanowych: kawa, mleko gorące, bułki i masło śmietankowe. Młoda gospodyni domu flamandka tęga rumiana blondynka, typu iście Rubensowego, nalała nam szklanki białej kawy. Po krótkiej pogawędce o mojej podróży i o wystawie miejscowej, otrzymawszy kilka objaśnień praktycznych, pożegnałem moich uprzejmych gospodarzy i pośpieszyłem zaraz na miasto.

Na wirydarzu koło dworca kolei, spoczawszy na ławce, rozpatrzyłem przedewszystkiem dokładnie plan miasta i wystawy. Antwerpja, po francusku Anvers (około 150000 mieszkańców licząca podówczas) położona jest na wschodnim brzegu Skaldy, w miejscu gdzie rzeka ta tworzy wielki łuk czyli kolano płynące z południa ku północy. Pomimo, że odległość miasta od ujścia Skaldy do morza wynosi około 88 kilometrów, mogą do tamecznej przystani przybijać największe okręty oceanowe. Głębokość bowiem rzeki i przystani antwepskiej dochodzi 10 do 12 metrów (podobnie jak Tamizy pomiędzy jej ujściem a Londynem). Nowa wielka przystań Antwepji otwarta została właśnie w r. 1885, wśród wielkich uroczystości podczas wystawy międzynarodowej. Przystań owa należy do najznakomitszych dzieł inżynierji morskiej naszych czasów. Długa $3\frac{1}{2}$ kilometra (około pół mili) szeroka średnio 100 metrów, mieścić może największe okręty zaocanowe. Fundamenty jej leżą bowiem na 10 do 12 metrów pod powierzchnią wody. Wobec wielkiej głębi koryta rzeki ku morzu największe okręty przybijać tam mogą bez względu na przyływ czy odpływ. Przy ujściu swem Skalda dzieli się na dwa ramiona czyli szerokie kanały morskie pomiędzy wyspami holenderskimi, t. j. na Skaldę wschodnią i zachodnią (Oster-

Schelde i Wester-Schelde). Osobne wielkie baseny przystani przeznaczone są dla okrętów Ameryki, Afryki, Azji i in. Z głównego dworca kolei żelaznej rozchodzą się jej rozgałęzienia do wszystkich oddziałów przystani oraz na wybrzeże Skaldy, dla bezpośredniego ładowania transportów przy pomocy specjalnych urządzeń mechanicznych wzdłuż olbrzymich magazynów i śpichrzów.

Wielka Wystawa morska żeglugi pomieszczona została przy Wybrzeżu flamandzkim cz. Quai Flamand, a cały olbrzymi plac Wystawy powszechnej pomiędzy ulicami: Rue de Bruxelles, R. de Cobourg, Place du Trône, R. Montigny, R. de Hornes, Place du Peuple, R. du Retranchement i Quai Flamand nad basenem przystani.

Główne wejście na plac Wystawy, przez wspaniałą bramę, prowadziło z wielkiej alei Avenue du Sud, przecinającej wzdłuż całe miasto. Z dworca kolei żelaznej miałem tam drogę niedaleką. Zaraz za wejściem głównym przed frontem olbrzymiego Pałacu wystawy naprawo i nalewo rozpościerały się rozległe gazony zdobne kwiatami i roślinami egzotycznymi, oraz pięknym basenem wody ujętym w barwne kwietniki. Kolosalna fasada Pałacu, z dwoma wielkimi wodospadami po obu stronach wyniosłej bramy, prowadziła do szerokiej galerji centralnej imienia króla Leopolda II. Po obu jej stronach szereg hal wyniosłych mieścił różne oddziały wystawy. Największe z nich zajęte były przez: Francję, Belgię, Włochy, Anglię i Niemcy; pomniejsze przez inne kraje obu półkul globu. Cały gmach główny przecinała wzdłuż wielka galerja międzynarodowa, krzyżująca się pod kątem prostym z poprzeczną galerją środkową Leopolda II. Po drugiej stronie Rue de Bruxelles, naprzeciw Pałacu głównego, wznosiły się olbrzymie halle machin i taboru kolei żelaznych, z osobnemi oddziałami różnych państw. I tu również Fancja i Belgja przodowały. Poza tem rozległe przestrzenie wolne placu Wystawy zajmowały rozliczne kioski i altany wielkich przedsiębiorstw, towarzystw akcyjnych, winiarnie, restauracje i t. p. Wpółród nich dominował piękny kiosk koncertowy, w którym orkiestry różnych krajów stawały do konkursu.

Od samego rana przy pięknej pogodzie lipcowej i ciepłocie 15 do 20^o centigr. ruch na Wystawie panował bardzo ożywiony, przeważnie jednak w godzinach popołudniowych. Po ogólnej przechadzce i obejrzeniu głównych działów Wystawy w Pałacu centralnym, hallach machin i na placu — zatrzymałem się nieco dłużej przy wielkiej zagrodzie afrykańskich tubylców Państwa Congo. Wpółród hujnych roślin egzotycznych, kilka rodzin murzyńskich mieszkało tam w chatkach przywiezionych z ojczyzny z całym urządzeniem domowem i gospodarzem. W kociołkach ustawionych między kamieniami na ziemi kobiety i dziewczęta gotowały obiad. Naczelnik tej małej osady, stary murzyn, odziany w płócienny płaszcz niebieski, podał mi francuski cennik potraw

gotowych i zapytał łamaną francuszczyzną, czy każe sobie co podać? Czarne dziewczęta, ubrane w krótkie spodniczki czerwone do pasa, rozłożyły na ziemi grubą matę trzciniową miękką, na której usiadłem wygodnie, i według mego życzenia podały mi najprzód na miseczkę peklowany ożór słonowy, pokrajany w plasterki, kruchy i smaczny, do tego słoik musztardy francuskiej z łopatką z kości słonowej i także widelki. Na drugie danie przyniesiono mi pieczony comber z węża boa, czarnekę piwa daktylowego, wreszcie na deser orzechy kokosowe świeżo rozbite przy mnie, oraz banany soczyste. Po przyjęciu zapłaty za owe egzotyczne śniadanie, naczelnik osady zaprowadził mię do obszernej szopy, w której mieściła się wystawa wyrobów murzyńskich, rozliczne narzędzia i małe pracownie: kuźnia, tokarnia prymitywna, przędzalnie, warsztaty tkacie i t. p., gdzie pracowało też kilkanaście kobiet i dziewcząt dorodnych, a obok bawiły się dzieci swojemi zabawkami. Pożegnawszy uprzejmie tych czarnych gości Europy, udałem się do pobliskiego działu wystawy Belgji, gdzie mieściły się wyroby przeznaczone na eksport do Congo i innych kolonij afrykańskich. Przedewszystkiem broń myśliwska i różne narzędzia domowe i rękodzielnicze. Obok tego stare karabiny skałkowe z kolbami i łożyskami polakierowanymi na kolor jasnoponsowy, przeznaczone dla uzbrojenia gwardji przybocznej kacyków murzyńskich. Dalej, w witrynach szklanych, rozwieszono mundury paradne dla tychże kacyków, z lekkiego kretonu ponsowego, z kołnierzami i mankietami obszytymi szerokim galonem złotym, z jaskrawemi haftami na piersiach, przedstawiającemi złote słońca, srebrne księżyce i gwiazdy, przeróżne węże, krokodyle i smoki różnobarwne, a tu i owdzie białe trupy głowy dla postrachu wiernych poddanych murzyńskich owych małych władców ziemi, słońca i nieba. Dalej wystawione były ubiory gotowe dla elegantów kolonij zamorskich. Przeróżne garnitury męskie wyszłe oddawna z mody w Europie, zleżałe i wybrakowane po cenach kosztu. Na garniturze złożonym z marynarki z wysokimi bufami rękawów przy ramionach, z kamizelki w duże kraty, i spodni z nogawkami w kształcie trąby, w jakie wstydziliby się ubrać ostatni łobuz europejski — przyszyta była duża karta biała z ceną tylko 5 franków!! Dla nabywców hurtowych na tuziny i grosy na eksport zamorski, jeszcze znaczny rabat celem szybkiej wyprzedaży tych zleżałych zapasów.

Za to w dziale konfekcji najświeższej mody prawdziwe arcydzieła, mianowicie strojów damskich: wytworne kostiumy spacerowe, wizytowe i balowe, misternie haftowane, zdobne w subtelne koronki. W wielkich witrynach z grubych szyb zwierciadlanych, wystawiono między innymi paradne suknie Księżnej Walji, wykonane, przez pierwszorzędne firmy londyńskie i paryskie. (w tem przepiękny kostium z białej mory, haftowany wzorzysto białemi perłami). W oddziałach wielu krajów licznie reprezentowane były firmy wytwórcze przeróżnych win, koniaków, likierów,

wódek, porteru, piwa i t. p. niektóre we własnych kioskach z bufetami.

Wspaniale przedstawiał się dział wystawy kolei żelaznych, kolejek transportowych i przenośnych. Różnego typu wielkie i małe parowozy, motory kolejowe elektryczne z akumulatorami, wagony osobowe, towarowe, platformy, węglarki i wagoniki przeróżne ustawione były na torach szyn różnego rodzaju i szerokości, całemi szeregami.

Po lekkim obiedzie w kawiarni austriackiej na placu Wystawy, udałem się na Wybrzeże flamandzkie do działu marynarki. Między różnego rodzaju jachtami, łodziami i czółnami, zainteresowały mię bardzo łodzie składane Bertona, udoskonalone i wielce praktyczne dla wycieczek, podróży, połowu ryb i t. p. Lekkie i łatwo przenośne (dla jednej osoby tak jak duży kuferek) służyć też mogą w większych rozmiarach do masowego transportu wojska, jako pontony mostów tymczasowych, do przewozu robotników rzecznych i ładunków, zarazem jako czółna ratunkowe — przy pomocy wiosł lub masztów z żaglami. Główne warsztaty budowy tych łodzi składanych znajdują się w Anglii w Romsey (Hampshire) i należą do Towarzystwa akcyjnego „The Berton Boat Compagny, Limited”, które jest dostawcą admiralicyj Anglii, Francji, Włoch, Belgji i innych rządów zagranicznych. Reprezentant miejscowy Towarzystwa ze swymi pomocnikami, przedstawiał mi i objaśniał uprzejmie sposób rozkładania i składania tych łodzi, wystawionych na wybrzeżu basenu marynarki, a na odchodem ofiarował mi prospekty i cenniki pięknie ilustrowane. W pobliżu dalej stał przy wybrzeżu na kotwicach szereg specjalnych łodzi ratunkowych dla rozbitków, rybaków i okrętów. Łodzie te, napełnione przyrządami ratunkowymi, pasami z korka, linami i sygnałami, opatrzone były na burtach festonami z lin zwieszonymi ponad wodą, dla chwywania się przez tonących rękoma narazie, przed wydostaniem do wnętrza łodzi.

Oprócz wielkich koncertów codziennych na głównym kiosku Wystawy, rozrywki artystycznej na mieście dostarczały masom publiczności przyjezdnej liczne sale koncertowe, kabarety i teatry stałe. Mianowicie: wielki Teatr królewski, Teatr Alhambra, Teatr Scala, Vlamsche Schouwburg flamandzki, Cyrk Oskara Carré i wiele innych pomniejszych. Pośród mnóstwa barwnych afiszów przy wejściu Wystawy wielki afisz biały Teatru królewskiego zapowiadał przedstawienie świętego baletu fantastycznego „Excelsior”, w 11 obrazach, z muzyką Luigi Manzottiego, wykonywany przez 450 osób z panną Labruyère jako primabaleriną naczelną. Po herbacie wieczornej o godz. 8-mej kupiłem bilet do krzeseł, i przed rozpoczęciem przedstawienia zająłem moje miejsce, dla przyjrzenia się pięknej widowni rzęsiście oświetlonej. O godz. 8½ podniesiono kurtynę. Wśród ciemności obraz 1-szy przedstawia pracownię Volty w chwili gdy ten genialny fizyk otrzymuje pierwszą iskrę elektryczną w swoim słynnym stosie galwanicznym, poczem

duchy światła rozpraszają ciemności; obraz 2-gi: świątynia światła — siedziba genjuszu i wiedzy (wielki balabil). W akcie II: obraz 3-ci, pierwszy parowiec, wieś nad rzeką, wyścigi łodzi z nagrodą dla zwycięzcy; w obrazie 4-tym potęga pary i jej zastosowań do lokomotywy; w 5-tym zastosowania elektryczności, w 6-ym: pierwsze biuro telegrafu w Waszyngtonie, wielki balet roznościelek telegramów w charakterystycznych kostiumach; w 7-ym obrazie pustynia: napad beduinów na karawanę, genjusz cywilizacji rozpędza rozbójników. Obraz 8-my: uroczystość otwarcia Kanału Suez, na tle przepysznej dekoracji, taniec alegoryczny zniesienia niewolnictwa i wielki balabil egipski. Akt III-ci, obraz 9-ty: tunel góry Cenis: ostatnia mina, powitanie wzajemne inżynierów francuskich i włoskich, pomnik w Turynie wzniesiony dla uczczenia wielkiego dzieła; obraz 10-ty: świątynia narodów, zjednoczenie ludzkości, wielki balabil w kostiumach różnych narodowości. Obraz 11-ty finał: wspaniała apoteoza cywilizacji i postępu coraz wyżej — „Excelsior!”

Nazajutrz rano, po zwykłym pierwszym śniadaniu w mieszkaniu moich gospodarzy, wybrałem się zwiedzić wielki Ogród zoologiczny, położony we wschodniej stronie miasta, bogaty w piękne okazy egzotyczne, mianowicie różnobarwne papugi i liczne gatunki małp w obszernych klatkach igrające swobodnie z małymi małpiętami.

Dochodząc przez aleę Avenue du Sud do wejścia Wystawy, wstąpiłem do obwieszonej ogromnemi afiszami ilustrowanemi „Panoramy Inkwizycji świętej”, z urządzeniem przedstawiającem osoby i sceny wielkości naturalnej jak żywe, w obrazach wykonanych artystycznie. Obraz 1-szy: w wielkiej komnacie gotyckiej z szafami pięknego księgozbioru, poważny starzec z siwą brodą siedzi w dużym krześle rzeźbionem przy stole oświetlonym jasną lampą wiszącą u stropu; młoda piękna córka czyta mu starą księgę z rysunkami astronomicznymi. W obrazie 2-gim we drzwiach otwartych do owej komnaty wpada nagle mnich dominikanin w białym habicie z czarnym krzyżem w rękę, symbolem męczarni; za nim banda zbirów z katem barczystym z powrozami i kajdanami w rękach. W obrazie 3-cim zbiry porywają starca okutego w kajdany i wloką jego młodą piękną córkę skrepowaną powrozem do więzienia. Obraz następny przedstawia ponury sąd „Inkwizycji świętej”, z białym krucyfiksem na czarnej ścianie. Okrutne mnichy po zbadaniu dwóch ofiar niewinnie oskarżonych o mniemaną herezję, odsyłają nieszczęsnych na straszne tortury dla wymuszenia zeznań. Dalej w podziemnym lochu więzienia katy przypiekają stopy nagiego starca na wolnym ogniu na ruszcie żelaznym. Następnie szarpia mu ciało obcęgami rozpalonemi w ogniu do czerwoności. W innym lochu kat z pomocnikami wyłamuje stawy rąk i nóg nieszczęsnej młodej niewiasty. Wkońcu obcina jej nożem obie piersi i rzuca swoim psom na pożarcie. W lochach po kątach stoją jeszcze inne narzędzia tortur:

liny do wieszania ofiar za nogi i ręce na hakach, wygięte deski podwójne nabite wielkimi gwoździami do ściskania ciał torturowanych, obroże z kolcami wewnątrz do dławienia szyi, ruszty żelazne do przypiekania pleców na węglach rozżarzonych i t. p. Obraz ostatni przedstawia nieludzki pochód męczeńskich ofiar dla spalenia ich żywcem „Ad majorem Dei gloriam“... Niewypowiedziane smutne i przygnębiające wrażenie wywołuje ten piekielny przegląd męczeństwa niewinnych ludzi przez okrutną „Inkwizycję świętą“ rzymsko-katolicką — dla zbawienia dusz i rabunku majątku skazanych na rzecz Kościoła świętego. Panorama owa miała wszędzie wielkie powodzenie w Londynie, Paryżu, Hadze, Amsterdamie, w Brukseli, wreszcie w Antwerpii podczas wielkiej Wystawy powszechnej międzynarodowej zwiedzana przez cudzoziemców przybywających tłumnie ze wszystkich części świata. Opłata bowiem wejścia bardzo tania: pół franka od osoby dorosłej, a ćwierć franka od dzieci i żołnierzy. — Przy bulwarach nad rzeką Skaldą gmach Muzeum Steena stanowi pozostałość starego Zamku antwerpskiego, który Karol V darował miastu, tam później mieściła się krwawa Inkwizycja święta miejscowa, a obecnie piękne muzeum archeologiczne, obejmujące starożytności rzymskie i inne do XVIII wieku, broń, meble i t. p.

Wielką skarbnicą piękna w Antwerpii jest Muzeum królewskie sztuki (na południe od Placu Meira) wspaniały gmach w stylu odrodzenia greckiego. Ośm sal poświęcono tu utworom Rubensa, które stanowią główny zbiór dzieł tego mistrza. Vestibul Keyzera zdobią freski tego malarza, przedstawiające historję sztuki antwerpskiej. Na piętrze mieszczą się galerje malarstwa dawnego i współczesnego.

Na północ Placu Meira w kościele św. Jakóba, znajdują się stare grobowce arystokracji miejscowej i liczne obrazy Rubensa, Van Dycka i innych mistrzów. Tam w kaplicy Rubensa (zm. 1640 r.) pochowany jest on i jego rodzina, przedstawiona na wspaniałym obrazie nad ołtarzem.

Na zachód od Placu Meira na Zielonym placu piękny pomnik Rubensa, dalej Katedra, wspaniały gotyk z wysmukłą wieżą, której efekt psuje ciasnota ulic sąsiednich. Wnętrze katedry zdobią świetne witraże z XVII wieku i słynne arcydzieła Rubensa „Zdjęcie z krzyża“ i „Wniebowzięcie“.

Zabytkiem wielce interesującym w swoim rodzaju jest przy Placu Vendredi (na zachód od Placu Meira) t. zw. „Musée Plantin Moretus“ w starożytnym domu sławnego drukarza Chrystjana Plantina z XVI wieku. Po zamknięciu jego drukarni, zakupiło ją miasto z całym urządzeniem współczesnym, z meblami i obrazami, z których kilkanaście jest Rubensa. Przepyszne są też tam rozwieszane na ścianach komnat reprodukcje dzieł tego mistrza odbijane w owej tłoczni. W mieszkaniu pozostawiono tam wszystko na swoim miejscu: staroświeckie łóża, szafy rzeźbione,

stoły i krzesła. Również w drukarni: prasy, kaszty, a nawet tygle do topienia aljażu do lania czcionek.

Wychodząc stamtąd zakupiłem od chłopca parę świeżych gazet, brukselską „L'Etoile Belge“ i miejscowy „Précurseur“ wielki dziennik polityczny, literacki, artystyczny, handlowy i morski, wychodzący pod redakcją P. A. De la Montague, przy Placu Muzeum, gdzie otrzymałem dużo cennych informacji o dziennikarstwie belgijskiem. Redaktor żegnając się ze mną, ofiarował mi kilka ostatnich numerów swojego dziennika, i zwrócił uwagę na parę ważniejszych artykułów rozumowanych; między innymi na jeden bardzo interesujący, pomieszczony w nr. 184 z dnia 3 lipca 1885 r. p. n. „Le Vatican et le Quirinal“, z czego charakterystyczny początek przytaczam:

„Un certain nombre de journaux continuent à prévoir une évolution de la politique papale. Leon XIII abandonnerait le système pratiqué par Pie IX, il se rapprocherait de l'Italie et il accepterait la rente annuelle 3.500.000 francs, que lui assure la loi de garantie. Nous croyons assez peu à la conversion du pape et nous pensons que l'Italie ferait bien de se défier des avances que la Cour pontifical pourrait vouloir lui faire. Certes Leon XIII, qui n'est point un violent par temperament, doit souffrir de l'isolement ou le monde catholique le laisse, il doit souffrir de voir sa voix devenir la „vox clamans in deserto“ de l'Ecriture, et il est naturel qu'il cherche à remplacer les amis, qui peu à peu ont abandonné la cause de l'Eglise. Mais une trêve sincère, nous le parlons pas de paix, peut-elle intervenir entre l'Eglise romaine et l'Italie? Evidemment non. Si des negociations doivent s'établir entre le gouvernement italien et le pape, elles échoueront comme ont échoué les negociations que Leon XIII a tentées avec la Russie, avec l'Allemagne, comme ont échoué dans notre pays, sous le dernier ministère libéral les negociations qui ont abouti au renvoi du nonce Vanutelli. — Qui traite avec Vatican est fatalement destiné à être trompé!...“

Powinni o tem pamiętać zawsze wszyscy!

Z redakcji wolnomyślnego „Précurseur'a“ pośpieszyłem na Wystawę i przy szeregu wagonów sypialnych ustawionych na lewo od wyjścia głównego spotkałem p. Jana Gebetnera, młodego księgarza z Warszawy. Lubił podróżować i prawie corocznie wolny czas w lecie poświęcał wycieczkom zagranicznym. Poprzednio też w r. 1882, podczas mojej podróży na Wschód spotkaliśmy się w Wiedniu (o czem nadmieniałem). Po serdecznem powitaniu oglądaliśmy razem wnętrza wagonów sypialnych i salonowych, urządzone z wyszukany konfortem. W wagonie restauracyjnym zasiedliśmy przy stole nakrytym elegancko z świeżemi kwiatami. Kelner podał nam kartę. Zamówiony obiad przynoszono nam z wagonu sąsiedniego w którym się mieściła kuchnia, spiżarnia i lodownia, pod kierunkiem kuchmistrza i jego pomocników, ubranych w białe bluzy i berety. Po obiedzie wstą-

piliśmy do wielkiego Bufetu win francuskich, gdzie wypiliśmy parę szklaneczek wybornego szampana za pomyślność naszej dalszej podróży.

Po zwiedzeniu ogólnego Pawilonu sztuki, obesłanego bogato głównie przez Francję, Włochy, Belgię, Holandję, Austrię i in., udaliśmy się o godzinie 5-tej wieczór na koncert symfoniczny w wielkiej sali uroczystości, pod dyrekcją kapelmistrza Piotra Benoit, ze współudziałem znakomitego pianisty Edwarda Potjes, który wykonał świetnie szereg utworów Chopina, Liszta, Rubinsteina i Glinki. Wejście na koncerty w sali uroczystości było bezpłatne dla wszystkich zwiedzających Wystawę.

Po wspólnej wieczerzy w Austriackiej restauracji na placu Wystawy wpobliżu wyjścia, pożegnałem p. Jana Gebetnera i udałem się zaraz do domu na spoczynek.

Nazajutrz dnia 11 lipca wczesnym rankiem, po śniadaniu i zapłaceniu należności za mieszkanie, pożegnałem moich miłych gospodarzy, i pośpieszyłem na pobliski dworzec główny kolei. Pociąg pospieszny przebiegał szybko żyzne niziny Flandrii, minął Gandawę, przebył granicę Francji, jej wschodnio-północne okręgi przemysłowe koło Lille, i wieczorem stanął w *Calais*, na dworcu nadmorskim. W najbliższym hotelu nadbrzeżnym dano mi mały pokój na nocleg. Na długim dniu lipcowym wieczorem przez ładny ogród publiczny poszedłem na kolację w śródmieściu. Wracając do hotelu kupiłem świeży numer dziennika „L'Avenir de Calais“ z rozkładem jazdy parowozów do Duwru, i po przejrzaniu nowin dnia, ległem na spoczynek w zacisznym pokoiku, kołysany do snu szumem fal morskich.

Nazajutrz rano w niedzielę po wczesnym śniadaniu w hotelu, wybrałem się na przechadzkę po wielkim pomoście przystani do olbrzymiej latarni morskiej. widzialnej z odległości 20 mil wokoło. Brzegi morza pod Calais są piaszczyste, plaża bardzo szeroka. Morze dopiero w odległości kilkuset kroków od miasta ma głębokość 6 do 10 metrów, dostateczną dla wielkich okrętów. Zeszedłszy z pomostu portowego po schodkach wziąłem kąpiel morską bardzo orzeźwiająca, i wróciłem do hotelu na obiad. Po zapłaceniu mego rachunku, wyruszyłem po południu z całą gromadą podróżnych przybyłych z dworca kolei, do portu. Przy końcu pomostu stał już pakebot gotów do odjazdu do Duwru. Po przejściu na pokład i zajęciu miejsc przez pasażerów, kasjer sprzedawał wszystkim bilety przejazdu. Dzień był pogodny i gorący, więc wziąłem tani bilet klasy III na pokład. Nasz pakebot składał się z dwóch parowców długich a wąskich złączonych mocno z sobą, dla bezpieczeństwa wracie wypadku uszkodzenia lub rozbicia jednego z nich, by drugi mógł być ocalony. Ciąsnina Pas de Calais ma wpośrodku głębokość około 50 metrów, a przy brzegach Anglii podobnie jak przy francuskich coraz mniejszą 20 do 10 m. Cały przejazd trwa tu przeszło dwie godziny przy morzu spokojnem. Byliśmy już blisko wybrzeża Anglii

gdy nagle wiatr północny chłodny przyniósł tumany mgły gęstej, która w krótkce zasłoniła cały widnokrąg. Na statku naszym o kilka kroków nie było nic widać. Niebezpieczeństwo było wielkie. To też z wielu stron słychać było sygnały ostrzegawcze statków płynących w różnych kierunkach. Gwizd świstawek parowych i ryki syren. W pobliskim porcie *Duwr* dawano strzały z dział w równych a krótkich przestankach dla orientacji statków tam zmierzających. Nasz pakebot zwolnił nieco bieg, i niebawem przybił szczęśliwie do portu. Mgła rozwiła się powoli, i słońce znów zajaśniało. Służba statku naszego ustawiła w szeregi pasażerów, z kuferkami otwartymi przed każdym. Spuszczono kładkę z bulwaru. Kilkudziesięciu rewizorów celnych weszło na pokład naprawo i nalewo i szybko przepatrzyło dokładnie bagaże. Z mojego sakwojaża po przejrzaniu rzeczy celnik wyjął butelkę próżną zakorkowaną, i zapytał co w niej było? Objąsniłem że miałem w niej mleko do picia z bułkami. Odkorkował ją powąchał, zatkał i oddał nic nie mówiąc. Rewizja była skończona. Podróżnych wypuszczono na brzeg. Objąsniłono mię później, że z powodu licznych zamachów dynamitowych dokonywanych przez irlandczyków w walce o autonomję, policja angielska rozłącza wielką czujność i dokonywa ścisłe rewizje osób nieznanomych. Niedawno bowiem irlandczycy wysadzili w powietrze boczną część Pałacu parlamentu w Londynie.

Rozejrzawszy się wokoło, pośpieszyłem na pobliski dworzec kolei parterowy i cichy. W poczekalni jeszcze nikogo nie było. Mały pociąg stał pusty na relsach przy peronie. Niebawem nadszedł jakiś duchowny w czarnym paltocie, a potem staruszka z dużym sakwojażem. Okienko kasy otwarło się, kupiłem bilet III klasy. Tożsamo uczyniło dwoje podróżnych i poszło do wagonu. Książd otwarł drzwiczki i usadowił się, obok niego staruszka, ja naprzeciwko nich. Wkrótce przybyło jeszcze kilku podróżnych do wagonów sąsiednich. Z sali pasażerskiej przez wąski peron przechodziło się tam jakby z jednego pokoju do drugiego po gładkiej podłodze, albowiem szeroki stopień wagonu znajdował się blisko brzegu peronu. Konduktor przeszedł wzdłuż wagonów, pozamykał drzwi przedziałów — i bez żadnych dzwoneków, świstów i bieganiny pociąg ruszył w drogę powoli spokojnie. Natłoku podróżnych nie było, gdyż z przystani *Duwr* odchodzi do Londynu mnóstwo pociągów kolei w krótkich odstępach czasu, a kwitków na bagaż nie wydają wcale. Na dalszych przystankach przybywało coraz więcej podróżnych, pociąg zatrzymywał się krótko i biegł pośpiesznie wpośród bujnej zieleni przepysznych ogrodów, parków i pastwisk uprawnych, na których w małych zagrodach spoczywały białe owce, tuczne woły i krowy mlekodajne. Coraz więcej pięknych, willi i wielkich zabudowań zwiastowało bliskość południowych przedmieści fabrycznych Londynu. Pociąg mijał szybko jednostajne szeregi czystych domów robotniczych, coraz większe

gmachy i kamienice wielopiętrowe. Wreszcie po długim wia-
dukcie wtoczył się powoli na I-sze piętro ogromnego dworca
stacji *London-Bridge*. Gromada podróżnych wysiadła, po szero-
kich schodach zeszła na parter i rozproszyła się w różnych
kierunkach.

Wyszedłem za innymi na ulicę i naprzeciwko na kamienicy
kilkopiętrowej, wąskiej a wysokiej, zobaczyłem ponad balkonem
długi napis złotymi literami „International Hotel“. Parter hotelu
zajmowało wielkie okno wystawowe restauracji miejscowej, z wy-
soką szybą lustrzaną, za którą na półmiskach leżały dorodne
ogórki, młoda sałata, kawał surowej polędwicy, bryły masła,
różne sery, szereg butelek whisky, portera, portwajnu i t. p. Przez
drzwi oszklone obok wszedłem do restauracji, zasiadłem przy
stoliku koło okna. Młoda kelnerka w białym fartuszkowi podała
mi kartę potraw. Zamówiłem bifstek, mizerję i pół butelki portera.
Niebawem podano mi wspaniałą porcję polędwicy napół su-
rowej soczystej, z ziemniakami przypiekanymi (wobec czego
nasze bifsteki siekane z cebulą są nędzną karykaturą). Posi-
liwszy się solidnie, przejrzałem świeże gazety, i poprosiłem
o mały pokój na nocleg. Zaprowadzono mię na III-cie piętro od
frontu. Umyłem się i położyłem zaraz aby wypocząć po trudach
podróży całodzienniej. Niestety pomimo pozornej czystości pokoju,
spoczynek mój zamienił się w piekielne tortury z powodu mnós-
stwa pluskiew. Wylałem całą szklanekę nafty z lampy, skropiłem
pościel, ale i to niewiele pomogło. Hałaśliwy ruch na ulicy,
światło latarni w oknach, nieustanny bieg pociągów po wia-
dukcie kolei naprzeciwko — nie pozwalały mi zasnąć przez
całą noc nieomal. O świcie wstałem, umyłem się zimną wodą
starannie, spakowałem sakwojaż, parę pluskiew nadzianych na
szpilkę wbiłem w bilet wizytowy i zeszedłem nadół do resta-
uracji. Tam już zamiatano, sprzątano i robiono porządek. Kel-
nerowi pokazałem pluskwy, oznajmiłem że z ich powodu miałem
nocleg nieznośny, i przenoszę się zaraz gdzieindziej. Zapłaciłem
rachunek i wyszedłem wprost na ulicę.

Ruch poranny już się zaczynał. Zauważyłem chłopców
i dziewczęta biegnące szybko w różne strony z blaszankami
z mlekiem. Zapytałem skąd je niosą — wskazał mi mleczarnię
w uliczce bocznej. W sklepie obok, z pięknym pieczywem w oknie,
kupiłem parę dużych bułek i wszedłem do mleczarni. Była to
wielka hurtownia mleka, rozsyłająca je do sklepów i domów
odbiorców stałych w godzinach oznaczonych, przez owych małych
posłańców. W dużej izbie czystej parterowej gospodarz i skle-
powe nalewały pośpiesznie mleko z wielkich konwi do blaszanek
próżnych przynoszonych z miasta. Chłopcy i dziewczęta wybie-
gały z niemi znów szybko, i tak ciągle panował tam ruch bardzo
ożywiony. Na końcu bufetu przy ścianie stało kilkanaście dużych
szklanek czystych. Podałem jedne, nalano mi mleko świeżuteńkie
— było wyborne. Wyjąłem moje bułki z papieru i poprosiłem

o drugą szklanę mleka. Wkrótce przyszło jeszcze kilka osób na mleko, które wypijały stojąc przy bufecie, gdyż nie było tam żadnych innych stołów ani stołków dla gości. Posiedziałem na ławce pod ścianą i zapłaciłem należność. Następnie udałem się pod pobliski dworzec kolei London-Bridge, w którego wiadukcie w arkadach były różne sklepy. Nad jednym pod numerem 10 przy ulicy Borough wisiała tablica z napisem: H. H. Grattan bokseller. Była to mała księgarnia i skład materiałów piśmiennych. W oknie wystawiony był wielki plan Londynu. Wszedłem tam, zasiadłem na krześle przy stole, i poprosiłem o pokazanie mi owego planu. Staruszek księgarz rozłożył go uprzejmie na stole. Plan był bardzo praktyczny, z napisami wyraźnymi ulic i placów; główne gmachy, tramwaje i koleje żelazne były narysowane przejrzysto. Przy planie, oprawionym w tekturę i płótno w formacie kieszonkowym, była mała broszurka z treściwym przewodnikiem ilustrowanym, obejmującym wykaz abecadłowy ulic, gmachów i instytucyj z małymi rysunekami, adresy głównych urzędów, muzeów, teatrów, hali koncertowych i t. p. Przytem sporo ogłoszeń dla turystów i mapka okolic Londynu z siecią kolei żelaznych oraz kursów parowców. Tytuł brzmiał: Bacon's new shilling Mapp of London and illustrated Guide, with large scale Plan of the City, a railway Map of the Environs, Street Directory, cab fares etc. Edit. C. W. Bacon et Co, 127 Strand. Format okładki i tekstu mała 8-ka, tekstu str. 70, wielkość arkusza planu cm. 65 x 85. Plan ten z zapiskami różnymi przechowuję w zbiorze map mojej Biblioteki. — Księgarz zapytał mnie gdzie mieszkam? Opowiedziałem mu o moim przykrym noclegu naprzeciwko w International Hotel, i o zamiarze przeniesienia się gdzieindziej. Doradził mi Charing-Cross Hotel, na dworcu kolei teje nazwy, w samym środku miasta.

Poszedłem za jego radą i na sąsiednim dworcu kolei London-Bridge Station kupiłem bilet III klasy do nadchodzącego pociągu, który zatrzymał się krótko na następnym dworcu Waterloo-Station, przebiegł most na Tamizie, i wjechał powoli na długi i szeroki dziedziniec Hotelu Charing-Cross-Station, gdzie już na drugim torze szyn stał inny pociąg gotów do odjazdu. Dworzec ów i hotel zarazem stanowi olbrzymi gmach czteropiętrowy, zbudowany w podkowę podłużną. Wyszedłszy z wagonu, poprosiłem w przedsionku hotelu o tani i cichy pokój. Portjer tęgi poważny Anglik otworzył mi drzwi do windy mówiąc: „Dam panu ładny cichy pokój na IV-tem piętrze nr. 203“, i jednocześnie nacisnął dzwonek elektryczny. Za chwilę znalazłem się na głównym korytarzu IV-go piętra jasnym i czystym. Starsza gospodyni piętra i młoda numerowa, w białych czepeczkach i fartuszkach, zaprowadziły mnie do mego pokoju i oddały klucze. Pokój był czysty, skromnie ale dostatnio umeblowany, o jednym oknie szeroko roztwartem, skąd widać było pół Londynu.

Położyłem się na chwilę na wygodnym łożku, i rozpatrzyłem ponownie wielki plan miasta. Charing-Cross-Hotel i dworzec główny kolei leżał w samym centrum Londynu, nad brzegiem Tamizy, przy moście tejże nazwy (Charing-Cross-Bridge) — w pobliżu pałacu Parlamentu, katedry Westminsteru, Admiralicji, Ministerstwa spraw zagranicznych przy Downing-Street, Saint-James-Parku, z rezydencją królewską Buckingham-Palace, Trafalgar-Skweru z kolumną Nelsona i przy głównej arterji ruchu równoległej do rzeki Tamizy t. zw. Strand i Fleet-Street (podobnie jak w Warszawie ulice Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście równoległe do Wisły). Stąd w linii prostej ulice St. Martin i St. Andrews-Street prowadziły do gmachu British-Museum, które postanowiłem zwiedzić przedewszystkiem.

Była godzina 8-ma rano, więc zaraz zjechałem windą nadół na śniadanie w restauracji hotelu. W westybulu oddałem mój bilet wizytowy portjerowi, który kazał mię zapisać do księgi podróżnych, i wyszedłem głównymi drzwiami na plac przed hotelem. Tu działo się coś niezwykłego. Pod ścianą frontową hotelu kilku chłopców z wielkimi pękami gazet rozdawało świeże numery „Pall Mall Gazette“ tłumowi. Kilku tegich sprzedawców odbierało pośpiesznie pieniądze od kupujących. Dwóch policjantów z trudem utrzymywało porządek. Gazetę rozchwytywano, niemal wrywano z rąk sprzedawców, którzy od czasu do czasu wykrzykiwali głośno: „Pall Mall Gazette! skandale Londynu! kupujcie Pall Mall Gazette!“

Nie chcąc się tłoczyć wróciłem do portjera i poprosiłem go, aby kazał kupić dla mnie jeden numer gazety i zachował do mego powrotu wieczorem. Objaśnił mię, że redakcja „Pall Mall Gazette“ na parę dni przed tem, jeszcze w sobotę i w niedzielę ogłosiła naczelnemu numeru ostrzeżenie potrójnie podkreślone, aby jej czytelnicy, a mianowicie niewinne czytelniczki, nie chcące się gorszyć, nie brały w ręce numerów „Gazety“ w poniedziałek, wtorek i środę z artykułami odstaniającymi niesłychane skandale ze sfer rozpusty stolicy... Naturalnie skutek tej zręcznej reklamy dziennikarskiej był wprost przeciwny, gdyż właśnie w ów poniedziałek rano zaciekawione tłumy wrywały sobie z rąk numery „Pall Mall Gazette“, i licytowały je niemal z godziny na godzinę, tak że wkońcu cena egzemplarza doszła do 10 szylingów! Redakcja „Pall Mall Gazette“ mieściła się w pobliżu, przy Northumberland-Street. Stamtąd sprzedawcy z pakami Gazety pędzili dorożkami na wszystkie strony pośpiesznie.

Ja wsiadłem również w dorożkę i kazałem się zawieźć wprost do British-Museum, które otwierano dla publiczności o godzinie 10, na ulicę Great-Russel-Street. Przed główną bramę Muzeum przybyłem nieco zawczasem, więc tymczasem przez sztachety żelazne rozpatrywałem wspaniały fronton gmachu. Jestto olbrzymi czworobok, zbudowany pomiędzy ulicami Great-Russel-Street, Charlotte-Str., Montague-Str. i Montague Place. Muzeum

otwarte bywa od 10 rano do 6 wieczór. Przy głównej bramie zebrało się już kilkadziesiąt osób. Nadszedł powoli stary odźwierny, w granatowym mundurze, z wyglądu jakby wystużony marynarz, stary „wilk morski“, który niejednen ocean przepłynął. Naprzeciwko na wieży kościoła zaczęła bić powoli godzina dziesiąta. Ktoś niecierpliwu dopomina się głośno:

— Dlaczegoż pan nie otwierasz? przecież już 10-ta!

Odźwierny wyjmuje z wolna wielki klucz z kieszeni i odpowiada z flegmą:

— Zaraz, zaraz, moi panowie.

— Przecież pan widzi, że tyle osób czeka już oddawna!

Zegar wybił już: raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Odźwierny włożył klucz w zamek powoli, otworzył z jednego spustu...

— Otwierajże pan do licha! woła kilka osób.

— Zaraz, zaraz otworzy się moi panowie...

Zegar wybija sześć, siedm, ośm, dziewięć...

Odźwierny przekręca klucz z drugiego spustu — zegar bije dziesięć i jednocześnie brama otwiera się szeroko.

— Oto, zauważa ktoś, co jest angielska punktualność.

— A przez tę akuratność w handlu, przez precyzję i doskonałość wyrobów swoich (dodaje ktoś inny) Anglija zdobyła już pół globu ziemskiego...

Odźwierny, stary marynarz podczas służby swojej, być może na jakim pancerniku, przywykł wykonywać czynności swoje dokładnie na czas co do minuty, przyzwyczajenie to zachował nazawsze. Rzecz naśladowania godna, zwłaszcza u nas w naszej biednej Polsce!

Wejście do Muzeum brytyjskiego jest bezpłatne. W pierwszej sali stoją tam wielkie globusy stare i nowe, na podstawach i z merydjanami, także globy nieba. W dalszych komnatach przebogate zbiory okazów przedhistorycznych, starożytności wschodnie asyryjskie, egipskie, greckie i rzymskie, średniowieczne angielskie i skandynawskie, kolekcje numizmatów, medali i monet też współczesnych aż do najnowszych, nadsyłane stale ze wszystkich krajów ziemi przez konsulaty angielskie; dalej stare manuskrypty i druki, zbiory map atlasów, rycin, wreszcie ogromny księgozbiór największy w świecie, z działem polskim też ciągle uzupełnianym. Czytelnia urządzona wzorowo z chodnikami tłumiącymi odgłos kroków, z przedziałami z desek dla każdego czytelnika, któremu sąsiedzi przez to nie przeszkadzają w skupieniu myśli.

British Museum założone w r. 1753 przez Hansa Sloane, rozszerzane przez królów, pomnażane ciągle przez podróżników, badaczy i zakupy systematyczne — stanowi przebogatą skarbnicę wiedzy i nauki. Jestto jakby głowa i mózg Wielkiej Brytanji, potężnej przez cześć dla geniuszów wiedzy i uczonych

badaczy we wszystkich kierunkach umiejętności, literatury i sztuki.

Niezapomniano tam i o pożywieniu. Wpośrodku gmachu w bufecie obficie zastawionym można się posilić dostatnio, nie tracąc czasu na wychodzenie na miasto.

Dla wypoczynku po zwiedzeniu Muzeum brytyjskiego po południu udałem się pieszo przez ulice Andrews Street i Martins Lane na wybrzeże Tamizy. Z przystani przy moście Charing-Cross popłynąłem wdół rzeki do Greenwich lekkim parowcem osobowym na pokładzie, skąd roztaczała się przepyszna panorama obu wybrzeży Tamizy. Po lewej stronie w oddali olbrzymi Pałac Parlamentu, Opera narodowa, dworzec i hotel Charing-Cross, wspaniały pałac t. zw. Somerset House, dworce kolei Blackfriars i Canon-Station z Terminus Hotelem, ogromny gmach komory celnej Custom House, stara cytadela Tower, za nią wielkie baseny London Doks, dalej India Docks. Na prawym brzegu rzeki szeregi olbrzymich spichrzów i magazynów towarów z fabryk południowo-wschodniej części Londynu. Im dalej wdół rzeki ruch wodny zwiększał się coraz bardziej. Przy brzegach na kotwicy stały kolosalne parowce gotowe do odpływu lub przybyłe ze wszystkich części świata: z Szangaju, Tokio, Singapor, Kalkuty, Melburnu, Capetown, Montevideo, New-Yorku i inne. Środkiem rzeki płynęło mnóstwo pamniejszych statków, gabarów, szalup, motorówek i t. p. — niekiedy tak ciasno obok siebie, że zdawało się iż te małe skorupy z drzewa pogniotą się i zmiążdżą na drzazgi. W ścisku największym wszyscy zwalniali w biegu i mijali niedotykając się z przedziwną wprawą i dokładnością.

Nasz parowiec przybił do przystani Greenwich. Wsiadłem i przez czyste ulice przedmieścia, doszedłem do parku na wzgórzu, na którym stoi słynne obserwatorium astronomiczne, zaopatrzone w najbardziej udoskonalone przyrządy optyczne i fizyczne. Wspaniały park ma 174 akrów powierzchni. Wśród jego bujnej zieleni wypocząłem swobodnie, i zpowrotem tak samo parowcem wróciłem do przystani przy moście Charing-Cross. Po herbacie z mlekiem i biszkoptami w pobliskiej kawiarni, pośpieszyłem do hotelu, winda wniosła mię szybko do mego pokoju, gdzie na stoliku znalazłem numer poranny „Pall Mall Gazette“ opisujący skandale Londynu.

Rozebrałem się pośpiesznie, i w łóżku zacząłem czytać sensacyjny artykuł naczelny p. t. „Danina dziewczic w nowoczesnym Babilonie“. Po wstępie wykazującym w jaki sposób zebrane zostały fakty opisane i stwierdzono ich wiarogodność — sprawozdawca podał szereg jaskrawych obrazów przedstawiających porwanie podstępne dziewczic i gwałcenie opornych, werbowanie dziewcząt dobrowolne, zeznania gospodarzy lupanarów, targowisko londyńskie niewolnic, jak się kupuje i gubi dziewczęta, kupno dziewcząt w dzielnicach robotniczych, spędzanie płodu

dziewcząt ciężarnych, krępowanie dziewcząt rzemieniami dla obezwładnienia, trzynastoletnie dziewczęta sprzedawane po 3 do 5 funtów szterlingów, werbowanie do domów publicznych, stręczycielki dziewcząt, świadectwa dziewictwa wydawane przez lekarzy, wyzysk dziewcząt uwiedzionych, zyski stręczycielek i t. d.

„Wracam ze sfer przesiąkniętych zepsuciem, rozpustą i brudem, mówi sprawozdawca. Badałem kobiety i mężczyzn, na których występki położył niezatarte piętno. Nie jestem utopistą ani purytaninem, który zaśnania sobie twarz na widok zepsucia nieodłącznego od każdego wielkiego miasta. Wiem, że środkami prawodawczymi nie wytepi się prostytucji. Żądam jednak wytepienia zbrodni! Zbrodnią bowiem jest co wykazano, mianowicie: 1) sprzedaż, kupno i gwałcenie dziewic, 2) dostarczanie dziewic, 3) podstępny stosunek do kobiet uczciwych przez używanie środków zbrodniczych dla wciągnięcia do występku, 4) międzynarodowy handel kobietami, 5) okrucieństwa, gwałty i przestępstwa przeciw naturze“.

Artykuły „Pall Mall Gazette“ wywarły potężne wrażenie w Londynie i w Anglii, odbiły się szerokim echem w prasie całego świata, i przyczyniły się znacznie do naprawy złego.

W Warszawie w „Przeglądzie tygodniowym“ (w nr. 32 z 9 sierpnia 1885 r.) w listach „Ze świata“ znakomity nasz pisarz T. T. Jeż podniósł głośno tę sprawę, pisząc: „Wielki w Anglii stał się skandal. „Pall Mall Gazette“ uwagę swoich czytelników odwróciła na chwilę od kwestji sudańskiej i afgańskiej, od Gladstona i Salisburego, a zwróciła ją do kwestji nędzy materialnej i moralnej stanowiącej grunt, na którym rozkwita Londyn. Podniosła zasłonę i ukazała gnojowisko ludzkie, pomiot robactwa w postaci człowieczej, dzicz gorszą niż zwierzęcą, bo obrzydliwą i wstrętną dla wszystkich zmysłów naraz. Ludzie to, czy co? Gromada istot, do której się to zapytanie stosuje to nie jedna jakaś warstwa ludności angielskiej — to z warstw różnych brane dzieci dumnego Albionu, poddani królowej Wiktorji, wychowani na łonie tej cywilizacji dufnej w siebie, etykieta ogładzonej, zbytciem ozłocone, którą się pani mórz chlubi. Cóż tam dzieje się w tem społeczeństwie ucywilizowanem? Wielki dziennik pokazał to palcem, nazywając rzeczy po imieniu. Dziennik dotrzymał więcej niż obiecał, wydobywając na jaw i stawiając przed oczyma czytelnika materiał pornograficzny najobrzydliwszy, najwstrętniejszy, najhaniebniejszy, jaki sobie jeno wyobrazić można...“

Władze miejskie i policyjne Londynu nazajutrz we wtorek, 14 lipca, pod pozorem tamowania ruchu zabroniły sprzedaży ulicznej „Pall Mall Gazety“ w śródmieściu City. Mimo to sprzedaż numerów była nadzwyczajna, zarówno w stolicy jak i na prowincji.

Pogoda piękna sprzyjała mi w Londynie. Po wczesnem śniadaniu w hotelu, nabywszy wtorkowy numer „Pall Mall Ga-

zette", udałem się pieszo do Natural History Museum. Przeszedłszy przez wspaniałą aleję główną St. James Parku, minąłem siedzibę królewską Buckingham Palace, przez sąsiedni Green Park zoczyłem na Chesham Place, i wstąpiłem do Ambasady ruskiej. W wysokiej bramie portjer wygalonowany przeprowadził mnie przez obszerny dziedziniec do gabinetu sekretarza. Przedstawiłem mój paszport z wizą konsulatu angielskiego, i prosiłem o ułatwienie mi wstępu do Parlamentu. Sekretarz, uprzejmy młody człowiek, objaśnił mi że ambasador wyjechał właśnie do swej siedziby letniej w okolicy miasta, a przeto nie może mi dać listu polecającego bezpośrednio. Natomiast napisał mi na blankiecie z nagłówkiem Ambasady list do redakcji „Pall Mall Gazette“ (będącej podówczas w dobrych stosunkach z poselstwem ruskiem) z prośbą o ułatwienie mi wstępu na posiedzenie Parlamentu. Zważywszy jednak, że podówczas, z powodu zatargu o Afganistan, stosunki między Rosją a rządem angielskim były naprężone, zaniechałem użyć tego pośrednictwa, i zwróciłem się w tej sprawie do redakcji „Standard'a“ organu ówczesnego premiera lorda Salisbury.

Wpobliżu Natural History Museum przy Cromwel Road wstąpiłem dla wypoczynku do małej restauracji na porcję bifsteku i dla przejrzenia świeżego numeru „Pall Mall Gazette“.

Olbrzymi gmach Muzeum historii naturalnej (do którego wstęp jest bezpłatny) w ogromnej halli głównej mieści wspaniały posąg Karola Darwina z alabastru, jaśniejący w promieniach słonecznych wpadających tu przez wielkie okna frontowe.

W suterrenach wysokich dobrze oświetlonych umieszczono tu olbrzymie skielety wielorybów różnego gatunku i wieku, zawieszane w powietrzu na silnych prętach żelaznych. W halli centralnej dwie kondygnacje schodów żelaznych prowadzą na piętra górne. Sale parterowe całe biało malowane olejno obejmują witryny też śnieżnobiałe zewnątrz i wewnątrz dla maksimum oświetlenia. W nich okazy geologiczne skał, pokładów, minerałów i kryształów, ze wszystkich części świata — a nawet z przestworów nieba. W osobnej bowiem sali pod wielkimi kłozkami ze szkła błyszczą świetnie ogromne meteoryty. W dziale węgla osobna witryna obejmuje podobizny wszystkich wielkich brylantów znanych, wielkości naturalnej.

Piętra górne muzeum obejmują okazy świata roślinnego i zwierzęcego ze wszystkich krain globu, ustawione systematycznie. W dziale botanicznym okazy roślin drzewnych zajmują tam całe wielkie szafy oszklone: pnie z korzeniami, gałęzie z ulistnieniem, kwiaty, owoce, nasiona całe i w przekrojach. W głębi krajobrazy malowane przedstawiają lasy, zarośla i całe zbiorowiska roślin w naturze. W dziale zoologicznym obok okazów zwierząt wypchanych, czaszki i skielety. Gniazda ptaków naturalne ze zwykłą ilością jaj, obok samica, samiec i pisklęta. Przy ptakach wodnych pod taflą szklaną owady i rośliny sta-

nowiące ich pożywienie. Wszystko jak w naturze wszechstronnie przedstawione.

Poza gmachem Muzeum historii naturalnej rozciąga się wielki sad i ogród botaniczny Królewskiego Towarzystwa ogrodniczego, dający miły odpoczynek w cieniu drzew rozłożystych.

Obok Muzeum historii naturalnej, po drugiej stronie alei Exhibition Road, rozłożył się kolosalny gmach Muzeum Kensingtonskiego sztuki i techniki. Obejmuje ono przebogate zbiory rzeźby, architektury i malarstwa, oddział patentów i ogromny księgozbiór odnośny. Między innymi mieści się tam ateński fryz Partenonu arcydzieło Fidjasza, podobizna paryskiej kolumny Vendôme, niezliczone odlewy arcydzieł rzeźby, galerje obrazów, rycin i rysunków. Dla artystów i techników jestto nieprzebrana skarbnica materiałów i studjów fachowych.

Po posilnym obiedzie w najbliższej restauracji, dla wytchnienia na świeżem powietrzu pośpieszyłem do pobliskiego Hyde-Parku. Nad wielkiem jeziorem Serpentyńy wpośród gajów dębowych i rozległych łąk świeżo skoszonych wypoczywałem długo leżąc na trawie, i przypatrując się zręcznym manewrom wioślarzy i wioślarek w ubiorach sportowych. Olbrzymi Hyde-Park ma około 400 akrów powierzchni, a z sąsiednim Green-Parkiem i ogrodem królewskim Buckingham Palace, obejmującym 60 akrów, stanowi przepyszny zbiornik świeżego powietrza w samym centrum Londynu.

Wieczorem tego dnia czekała mię świetna urota artystyczna — występ Adeliny Patti w operze „Carmen“ Bizeta, w roli głównej. Przez wielką aleję Saint-James-Parku pośpieszyłem na pełen ruchu wielkowiejskiego Strand i Bow Street do kasy Royal Italian Opera w Covent Garden Theatre. Docisnąwszy się w tłoku do okienka kasjera, otrzymałem odpowiedź, że wszystkie bilety już rozsprzedane oprócz najwyższych galerij. Jakiś młody człowiek, ubrany elegancko, zaproponował mi zaraz pośrednictwo w nabyciu żadanego przeze mnie biletu do I-go rzędu amfiteatru. Poprosił mię do pobliskiej sieni bocznej gmachu, gdzie na stoliku stała podobizna sali teatralnej na tekturze zwiniętej walcowato, z oznaczeniem dokładnem parteru i wszystkich pięter z numerami miejsc. Wewnątrz świeciła się lampka. Faktor wyjął z portfelu żądany bilet, za który zapłaciłem mu cenę podwójną. Zapewnił mię, że bilet jest ważny i ma stempel z datą dzisiejszą (14 lipca 1885 r.) co zaraz sprawdziłem. Na wielką salę teatru wszedłem na kilka minut przed podniesieniem kurtyny. Widownia była już natłoczona. Orkiestrą dyrygował Arditì. Obsada ról była pierwszorzędna. Don Josego grał Engel, Escamilla Del Puente, Zunigę Cherubini, Dancairę Caraciolo, Remendadę Rinaldini, Moralesa Vaschetti, Mercedes pani Labache, Frasquitę pani Bauermeister, Michaelę panna Dotti. Divertissement baletowym z koryfejką Katti Lanner kierowała Malvina Cavalazzi. Patti występowała tu w roli Carmeny po raz pierwszy. Była w pełni

sił i głosu, pomimo 43 lat. Jak wiadomo, jej matka pani Barilli 18 lutego 1842 roku występowała na scenie opery w Madrycie w roli Normy. Podczas przedstawienia zrobiło się śpiewaczce niedobrze, mimo to jednak dokończyła swą rolę, a powróciwszy do hotelu powiła córeczkę, której na chrzcie dano imię Adeliny. Dziecko to w kilkanaście lat później oczarowało swym śpiewem świat cały jako Adelina Patti. Powiadano o niej, że nigdy nie płakała, a gdy mogła już ustać o własnych siłach i biegać po pokojach, całe mieszkanie rozbrzmiewało jej piosenkami. Zaznajomiona wcześniej przez matkę z życiem teatralnem, mogła licząc zaledwie lat kilka zaśpiewać całą rolę „Traviaty“ z pamięci. To też gdy wykształcona w śpiewie przez swego szwagra Strakoscha, ożenionego z jej siostrą starszą Karoliną, także słynną śpiewaczką, wystąpiła w 17-ym roku — odrazu oczarowała wszystkich swym głosem fenomenalnym, nie tylko pełnym siły, ale zadziwiająco miękkim i melodyjnym. W r. 1861 przybyła do Europy, i odtąd występowała na wszystkich najcelniejszych scenach, święcąc nieprzerwany szereg triumfów, i zbierając obok wawrzynów ogromny majątek. W r. 1868 u szczytu sławy wyszła za mąż za margrabiego de Caux. Rozwiodła się z nim jednak w r. 1874 po skandalicznym procesie, i poślubiła w r. 1886 śpiewaka Nicoliniego, a po nim w r. 1899 szwedzkiego barona Ralfa Paderstroema, dyrektora zakładu gimnastycznego w Londynie. Na stałe zamieszkała w Anglii, nabywszy w Walji wspaniały zamek Craig-y-Kos. Opowiadano o niej, że używała najrozmaitszych środków kosmetycznych dla utrzymania przez długie dziesiątki lat piękności, jak również fenomenalnego głosu. Ci jednak, którzy bliżej znali słynną śpiewaczkę jednoznacznie stwierdzają, że całą tajemnicą jej długotrwałej piękności i sławy śpiewackiej był poprostu brak nerwów. Nigdy nie przejmowała się niczem, nigdy nie brała nic zbyt głęboko do serca. Ta równość jej charakteru, to unikanie wzruszeń było talizmanem jej piękności i głosu. Z tego też względu nie przejmowała się zbyt rzecząmi mody, nie była jej niewolnicą, jak tyle innych słynnych śpiewaczek i aktorek. Rzadko kiedy przymierzała więcej niż raz suknię zamówioną, i w każdej czuła się równie swobodnie i zadowolona.

Namiętność jej jedyną stanowiło zamiłowanie klejnotów. To też posiadała brylanty i perły wartości kilkunastu milionów franków. Ale Adelina Patti mogła sobie na to pozwolić. W Ameryce płacono jej po 30.000 franków za występ. I bywały lata, że jeden sezon przynosił słynnej śpiewaczce do dwu milionów franków. Zarabiając tak olbrzymie sumy musiała też pomyśleć o zabezpieczeniu sobie dochodu wrazie niemożności śpiewania. Ubezpieczyła więc swój głos w jednym z Towarzystw amerykańskich na 5.000 dolarów od wieczoru. W ciągu jednak swej długiej kariery artystycznej tylko dwa razy korzystała z tego ubezpieczenia. Za najlepszy zaś środek zabezpieczenia cudnego

głosu przed wpływami gorąca sał teatralnych i koncertowych uważała przepłukiwanie gardła wodą z solą. Nigdy też nie jadła obiadu przed przedstawieniem. W dniach takich spożywała w południe bifstek, a dopiero po przedstawieniu obfitą kolację. W dobrobycie i świetnem otoczeniu przeżyła lat 76, zmarła w roku 1919.

Z teatru Covent-Garden miałem przez Strand blisko do hotelu, więc pieszo pośpieszyłem na spoczynek po lekkiej kolacji złożonej z wybornych owoców i winogron.

Nazajutrz wstałem nieco później jak zwykle. Po śniadaniu w restauracji hotelu, wyszedłem na wybrzeże Tamizy, na której panował już ruch bardzo ożywiony, mianowicie w górę rzeki. Ze zdziwieniem ujrzałem, że woda w rzece płynie w stronę wprost przeciwną jak zwykle, t. j. od ujścia ku źródłom... i długo nie mogłem się zorientować. Dopiero marynarz oparty o balustradę kamienną bulwaru objaśnił mi, że wskutek przypływu morza woda w Tamizie płynie wierzchem w górę rzeki, a spodem wdół do ujścia. Korzystają z tego liczne statki transportowe, gabary i t. p., które niesione przypływem, podjeżdżają z łatwością w środek miasta do wielkich składów towarowych i magazynów fabrycznych na prawym brzegu Tamizy, ładują się powoli, a potem z odpływem wody wdół rzeki wracają do jej ujścia i dalej w różne strony.

Około godziny 9-tej udałem się przez pełną ruchu Fleet-Street na Schoe-Lane do redakcji „Standarda”, organu lorda Salisbury, ówczesnego premiera rządu. Przez woźnego w poczekalni podałem mój bilet wizytowy. Wyszedł do mnie redaktor działu polityki zagranicznej p. Vernon-Marsh i powitał po francusku. Przedstawiłem mu moje listy polecające od redakcji „Gazety handlowej” oraz od redaktora Prusa-Głowackiego, i objaśniłem, że przybywszy do Londynu pragnąłbym zwiedzić Pałac Parlamentu i być na posiedzeniu tamże. Uprzejmy kolega obiecał mi to ułatwić, a w tym celu prosił, abym nań nazajutrz rano o godzinie 10-tej czekał przed głównym wejściem do Parlamentu. Podziękowałem i przyrzekłem stawić się punktualnie.

Następnie przez Strand pośpieszyłem na Trafalgar-square, ze wspaniałą kolumną admirała Nelsona, i zwiedziłem Galerję narodową sztuki. Stamtąd przez aleę Whitehall udałem się do starożytnej katedry Westminsteru, świetnego gotyku 530 stóp długiego, w którym mieszczą się groby wielkich ludzi Anglii. Przy wejściu głównem kilku policemanów obejrzało mię od stóp do głów pomacawszy kieszenie, a od damy wchodzącej jednocześnie ze mną wzięli książkę nabożną oraz torebkę, i po dokładnem przejrzeniu oddali. Straże takie i rewizje odbywały się podówczas przy wszystkich znakomitszych gmachach publicznych, z powodu zamachów terrorystycznych irlandczyków, którzy niedawno wysadzili dynamitem część pałacu Parlamentu. Olbrzymie wnętrze Westminsteru przewspaniałe, zdobią liczne posągi,

naturalnej wielkości, najznakomitszych ludzi tam pochowanych: jak Szekspir, Newton, Darwin i w. in. Na tyle katedry mieści się izba pierwszej szkoły ludowej, w której dotychczas jak przed wiekami uczą się małe dzieci.

Po obiedzie w restauracji hotelu Charing-Cross, podążyłem przez świetną ulicę Regent-Street do olbrzymiego Regents-Parku, rozległego przeszło 450 akrów, gdzie wpośrodku nad pięknym jeziorem mieści się bogaty Ogród botaniczny, a w kącie północnym słynny Ogród zoologiczny największy w świecie, obejmujący przeszło 3000 akrów. Założony w r. 1828 przez Towarzystwo zoologiczne, pozostaje pod jego kierownictwem naukowym, w celu badań, nauczania i rozrywki (study, education and pleasure). W ogromnej hali lwów i lwic, w kilkunastu klatkach silnie okratowanych, odbywało się tam właśnie wielce interesujące karmienie królów pustyni surowym mięsem. W jednej z klatek wielki stary lew mieszkał tam razem z małym pieskiem białym w najlepszej zgodzie i przyjaźni. Na wielkich słońiach indyjskich, objuczonych zdobnymi palankinami jeżdżą dzieciaki, przyszli władcy egzotycznych kolonij potężnej Wielkiej Brytanji. Basen wody morskiej często odświeżanej stanowi siedzibę fok i morsów, kąpiących się na słońcu.

Dla wypoczynku przy wyjściu bocznem w bufecie z zakąskami spożyłem na miejscu kolację złożoną z chleba, sera chester i wybornego porteru. Na wychodnym z parku pod wieczór jakaś ładna blondynka, ubrana bardzo przyzwoicie i skromnie, udając wielce zmartwioną i zakłopotaną, zapytała mnie: czy nie zauważyłem tam dwojga dzieci, chłopczyka i dziewczynki, które jej w tłoku zaginęły? Był to niezbyt zręczny pretekst zrobienia znajomości, zbyt ryzykownej, abym z niej chciał skorzystać, więc... pozbyłem się jej krótkim ale stanowczem — no! W miejscach publicznych, mianowicie tłumnych, w Londynie na każdym kroku pełno pickpocketów, których trzeba się strzedz bacznie. W czasie karmienia lwów np., gdy widzowie mają uwagę skierowaną gdzieindziej, rzeźmieszki pracują najgorliwiej. Jakiś elegant kręcił się tam koło mnie długo, ale zrażony moją ostrożnością dał mi spokój.

Po krótkim wypoczynku w głównej alei Regents-Parku, wróciłem wprost do hotelu, aby się dobrze wyspać po dniu pracowicie spędzonym.

Nazajutrz po śniadaniu udałem się z hotelu wybrzeżem Tamizy na most Westminsterki, z którego front Pałacu Parlamentu przedstawia się wspaniale od strony rzeki. Następnie rozpatrzyłem z różnych stron ten gmach pomnikowy. Jego narożnik północno-wschodni, wysadzony dynamitem przez irlandczyków, leżał w gruzach oparkaniony wysoko. Na kwadrans przed godziną 10-tą zacząłem się przechadzać pomału przed głównym wejściem do Parlamentu, oczekując na redaktora politycznego Standarda pana Vernon-Marsh. Policeman posterunkowy zwrócił

na mnie baczna uwagę, i podchodząc ku mnie zapytał — w jakim celu przechadzam się tutaj? Odrzekłem, że oczekuję na znajomego redaktora, który mię wprowadzi na posiedzenie Parlamentu, i oto właśnie nadchodzi. Policeman salutował nas grzecznie, i odszedł na swoje miejsce.

Pan Vernon-Marsh, po przywitaniu się ze mną poszedł ze mną do kancelarji prezydjum, gdzie przedstawił mię jako redaktora polskiego dyżurnemu członkowi Parlamentu panu Forth oraz sekretarzowi speakera p. Ponsonby. Ten z bloku specjalnego odciał kartę wejścia na sesję Parlamentu, z napisem:

„*House of Commons*, admit ticket No D. 125 to Distinguished Gallery, on thursday July 16 1885. Member's Name: N. Forth. Edward Ponsonby, Speaker's Secretary“.

Następnie poseł Forth zaprowadził mię do Biblioteki Parlamentu, gdzie w szeregu wielkich komnat z półkami książek, na stołach otoczonych fotelami leżały podręczne księgi praw, dzieła statystyczne, atlasy i t. p., dla użytku deputowanych. Wreszcie p. Forth poprowadził mię na galerję górną do t. zw. łoży znakomitych cudzoziemców i pożegnał uprzejmie, przyczem złożyłem mu serdeczną podziękę za łaskawe objaśnienia. W łoży zasiadłem na ławie wyściełanej obitej safranem z oparciem z ciemnego dębu, naprzeciwko prezydjum. W olbrzymiej sali piętrowej rozpoczęło się już posiedzenie, prowadzone ze spokojem i powagą. Do mojej łoży co pewien czas przybywali nowi goście. Po zajęciu wszystkich miejsc wolnych, około godziny 12-ej wyszedłem na drugie śniadanie w pobliżu Parlamentu. W wielkim barze z wejściem od ulicy, przy bardzo długim bufecie ciągnącym się wgląd sklepu, kilkadziesiąt osób stojąc spożywało pośpiesznie różne mięsiwa zimne na talerzach oraz zakąski ręczne, zapijając porter, ale, lub whisky. Ja stanąłem w drugim szeregu obok innych oczekując na wolne miejsce przy bufecie. Po odejściu od stołu jakiegoś młodego człowieka zająłem jego miejsce, i kazałem sobie podać porcję sandwich, chleba, sera i duży kufel porteru. Zapłaciłem niedrogo, wyszedłem wypocząć do pobliskiego Saint-James-Parku. Podrodze kupiłem świeży numer „*Pall Mall Gazette*“ z dokończeniem sensacyjnych „*Skandali Londynu*“ i sprawozdaniem z wczorajszego posiedzenia Izby gmin.

W dziale teatralnym zapowiadano między innymi na dziś t. j. we czwartek 16 lipca w Gaiety Theatre występ gościnny ówczesnej gwiazdy scenicznej Sary Bernhardt, w roli głównej wielkiego dramatu Wiktoryna Sardou „*Teodora*“ (z czasów Justyniana w 532 r. po Chr.). Było dziewięty występ słynnej aktorki przed jej wyjazdem do Ameryki. Wieczorem po obiedzie pośpieszyłem na Strand do kasy Gaiety-Teatru, gdzie bez trudności nabyłem bilet do krzesel. Widownia była nabita wyborową publicznością. Na tle przepysznych dekoracyj Banksa i Jolleya, świetny zespół artystów dostrajał się znakomicie do mistrzowskiej gry Sary Bernhardt. W roli Justyniana występował Filip

Garnier z „Comedie française“, Andreama grał p. Marais. Muzykę incydentalną skomponował specjalnie do „Teodory“ Massenet. Scenerję i kostiumy przywieziono z Paryża. Przedstawienie skończyło się o godzinie 11½, do hotelu miałem niedaleko, więc pieszo przebyłem krótką drogę, by wypocząć do wycieczek dnia następnego.

Nazajutrz w piątek, zaraz po śniadaniu w moim hotelu, wybrałem się pieszo dla zwiedzenia głównych gmachów publicznych lewego brzegu Tamizy, na której zwykły ruch parowców w obie strony od samego rana był już bardzo ożywiony.

Za mostem Waterloo olbrzymi Pałac Somerset z wspaniałym frontonem od strony rzeki, wzniesiony w roku 1780 przez księcia Somerset, mieści biura skarbowe Dochodów krajowych, registratora generalnego i in., gdzie zajętych jest blisko 2000 urzędników. Front przeciwległy rozciąga się przy najruchliwszej ulicy Strand, przy której w pobliżu wznosi się też niemniej świetny Pałac sprawiedliwości, olbrzymi gotyk zbudowany w r. 1868 z frontem długim stóp 500. Główna sala posiedzeń Najwyższego sądu królewskiego długa stóp 230, szeroka 40, wysokości mierzy stóp 80. Cały gmach mieści przeszło 1000 komnat.

Ruch tu zarówno na szerokiej jezdni jak i na chodnikach zawsze tłumny, mimo to nikt się tu nie potrąca, ani nawet nie obciera o drugich idąc nawet pośpiesznie (u nas inaczej, mianowicie w dniu targowe, pełno gadulskich stojących wpoprzek chodnika, gdzie niemal pięściami przepychać się trzeba, a boki mieć poobijane).

Przez niemniej ruchliwą Fleet-Street dotarłem niebawem do katedry św. Pawła. Jestto jedna z najwspanialszych świątyń stolicy Anglii, budowana według planu znakomitego architekta Wrena przez lat 35, od r. 1675 do 1710. Długość jej mierzy stóp 500, szerokość 250, wysokość kopuły z krzyżem stóp 365. Wśród licznych grobowców odznacza się tu wspaniałością pomnik Wellingtona.

Idąc dalej świetną ulicą Cheapside doszedłem dla zrealizowania mojej akredytywy do Banku Anglii, tego największego w świecie zakładu finansowego. Ów szary niepozorny gmach, wzniesiony w r. 1694, zajmuje rozległą przestrzeń 8 akrów, mieści w sobie wielki zbiór starych i nowych monet, a zajmuje przeszło 1000 urzędników.

Naprzeciwno Banku Anglii wznosi się wielki gmach giełdy t. zw. Royal Exchange, ze wspaniałą kolumnadą wzniesiony w r. 1844. Po drugiej stronie placu przyległego wielki pałac trzypiętrowy, t. zw. Mansion-House, jest siedzibą lorda-majora Londynu. Przeszedłszy za Bank przez Princess-Street na ulicę Cresham dochodzi się do t. zw. Guildhall, gmachu zebrania publicznych różnych korporacji. Olbrzymia sala główna tego wspaniałego gotyku może pomieścić przy uczcie uroczystej 3500 bie-

siadników. Znajduje się tam wielka Biblioteka miejska z czytelnią, do której wejście jest bezpłatne.

Po obiedzie w pobliskiej restauracji wsiadłem na ławę górną omnibusu konnego (obok stangreta w czarnym lśniącem cylindrze i eleganckich rękawiczkach skórzanych) by przez najruchliwsze ulice City — Holborn-Viaduct i Oxford-Street dostać się do Hyde-Parku. Tam w cieniu starych dębów nad brzegiem jeziora Serpenty, z świeżym numerem „Timesa“ długo wypooczywałem do samego wieczora. Po herbacie w kawiarni na wielce ożywionej w tej porze i świetnej ulicy Piccadilli, pośpieszyłem na pobliską Haymarket-Street do „Her Majesty's Theatre“, gdzie tego wieczora wystawiano wspaniały balet „Excelsior“, na którym już byłem raz w Antwerpji. Wielka widownia i tu była napełniona po brzegi, a obszerną scenę zdobiły świetne dekoracje szeregu obrazów, przedstawiających coraz wyższe stopnie rozwoju wiedzy, techniki i kultury ludzkości.

W ostatni dzień mego pobytu w Londynie przed południem popłynąłem parowcem w dół Tamizy zwiedzić starą cytadelę Tower, założoną jeszcze przez Wilhelma Zdobywcę, wielką jej zbrojownię, oraz sąsiednie olbrzymie doki i warsztaty okrętowe. Powróciwszy do mego hotelu na obiad, [potem do wieczora z świeżymi gazetami spoczywałem wśród cienistej zieleni pobliskiego Saint-James-Parku. W tętniącej bujnym życiem i bogactwem płynącym ze wszystkich części globu stolicy Anglii nad wyraz smutną jest wielka nędza ludu roboczego. W najbogatszych dzielnicach kontrast ten jest najjaskrawszy, gdzie nierzadko niekrepowani biedacy śpią obdarci i bosi na kamiennych ławach przepysznych mostów, lub pod arkadami ich na bulwarach. Także bije w oczy mnóstwo szynkowni w zaułkach, gdzie biedacy topią w gorzałce swe troski i grosz ciężko zapracowany.

Nazajutrz w niedzielę 19 lipca 1885 r., po wczesnem śniadaniu, zapłaciwszy rachunek hotelowy, wyruszyłem w powrotną drogę do Dover'u. Na podmiejskich stacjach kolejowych mnóstwo dziewcząt i chłopców sprzedawało w koszach wyborne owoce, oraz wielkie truskawki soczyste, ułożone równo na świeżych liściach w pudełkach drewnianych różnej wielkości. Zakupiłem duże pudło tego orzeźwiającego owocu na zapas na całą drogę.

W cieśninie kaletańskiej przy pięknej pogodzie morze było spokojne, i do Calais parowiec nasz przybył popołudniu. Większość podróżnych podążyła zaraz na dworzec kolei. Ja zatrzymałem się w tym samym hotelu co poprzednio obok przystani. Zwiedziłem staromiejską dzielnicę bardzo malowniczą i piękny park publiczny, Na szerokiej plaży piaszczystej wziąłem kąpiel morską, i po wczesnej kolacji, przejrzawszy świeży numer miejscowego dziennika „L'Avenir de Calais“, udałem się na spoczynek kołysany do snu łagodnym szumem fal. Nazajutrz w poniedziałek 20 lipca pociągiem porannym pośpiesznym wyruszyłem

przez Amiens wprost do Patyża. Pociąg nasz przebiegał szybko pagórkowate działy rzek Sommy i Oise, tych przemysłowych stron Francji wschodniej, i o godzinie 10-tej wieczór stanął na świetnym Dworcu północnym *Paryża*.

W pobliskim Hotel d'Amiens (przy ulicy Des deux Gares pod numerem 11) spożyłem kolację, i poprosiłem gospodarza o cichy pokój od podwórca. Nazajutrz zaraz po śniadaniu wsiadłem na górną ławkę t. zw. imperial tramwaja i przez wspaniały Boulevard de Sebastopol udałem się przedewszystkiem do Muzeum Louvru. Wśród ożywionego ruchu pieszego i wozowego słyhać było wszędzie nawoływania sprzedawców gazet porannych. Podobnie jak w Londynie, i tutaj rozchwytywano dodatek specjalny dziennika „L'Intransigeant“ p. t. „Les scandales de Londres, traduction littérale des articles de la Pall Mall Gazette“. Chłopcy z pękami dzienników pod pachą, podawali na długich kijach rozwidlonych numery na górne ławki omnibusów, chwytając zrecznie centymy w powietrzu.

Koło Luwru wysiadłem z omnibusu. Gorąco było, więc podrodze wypilem szklankę limonady i skierowałem kroki przedewszystkiem do stóp boskiej Venus miłońskiej. Po długiej modlitwie przed tem arcydziełem, zacząłem przegląd bogatych sal starożytności egipskich, asyryjskich, greckich, etruskich. W końcu dopytałem się o kustosa starożytności i wykopalisk meksykańskich oraz peruwjańskich, który zaprowadził mię przez długie wąskie korytarze na II piętro do swojego działu, i objaśniał wszystko uprzejmie. Dziwił się memu zainteresowaniu, i mówił że mało i rzadko miewa tu gości. Zapytywał w jakim celu zwiedzam ten dział — objaśniłem, że dla badań porównawczo-paleoetnologicznych. Przy pożegnaniu obiecał służyć mi odnośnemi informacjami bibliograficznemi wrazie potrzeby. Po przeglądzie galerji obrazów, i jej głównych arcydzieł, jak: Monna Liza Leonarda da Vinci, Samarytanin Remarandta, wreszcie zbiorów rzeźby z Amorem i Psyche Canovy, Niewolnikami Michała Anioła i in., pośpieszyłem wypocząć w cieniście Ogrodzie Tuilieryjskim. Po obiedzie w najbliższej restauracji bulwarowej, idąc pieszo przez Pola Elizejskie stanąłem przed wspaniałym Łukiem tryumfalnym, owym świetnym pomnikiem chwały Francji.

Wieczór wypoczywając w Lasku Bulońskim, przejrzałem świeże dzienniki i repertoar teatralny. Na zakończenie dnia, najbliższym tramwajem pośpieszyłem do „Comedie française“ na przedstawienie klasyczne „Tartuffa“ Moljera.

Nazajutrz, we środę 22 lipca, zaraz po pierwszym śniadaniu, przez Bulwar Sebastopolski dojechałem do Pont au Change. Przebywszy go pieszo na Wyspie Cité zwiedziłem starożytny Pałac sprawiedliwości i majestatyczną katedrę Notre Dame de Paris, wreszcie Panteon ze świetną kolumnadą i wspaniałą kopułą, pod którą opoczywają wielcy ludzie Francji.

Właśnie przed kilku tygodniami złożono tam trumnę wielkiego poety Viktora Hugo. W dniu 1 czerwca 1885 r. odbył się ów „pogrzeb narodowy” jaki odróżnia się od „pogrzebu na koszt państwa”. Izba deputowanych decyduje dekretem kto go dzień jest pogrzebu narodowego, a uchwała taka sama przez się stanowi już o pomieszczeniu zwłok w Panteonie. Jego budowa rozpoczęta została jeszcze za Ludwika XV. Początkowo miał to być kościół św. Genowefy, lecz konstytucja 1791 roku uczyniła zeń Panteon świecki. Restauracja monarchiczna niecnych Burbonów wyrzuciła zeń prochy Voltera na cztery wiatry, które rozniosły je po całym świecie i spotęgowały jeszcze bardziej wpływ tego olbrzyma duchowego genialnego twórcy Wielkiej Rewolucji XVIII wieku. Dekret Napoleona III Małego, oddający Panteon Kościołowi katolickiemu, zniesiony został nowym dekretem Prezydenta Republiki Francuskiej, wydanym zaraz po dekreście Sejmu o narodowym pogrzebie Viktora Hugo w Panteonie.

Pogrzeb ten był wielką apoteozą Poety, która przewyższyła wszystko co dotychczas znano i widziano w tym rodzaju. Ten olbrzymi pochód zpod wspaniałej arkady Łuku Triumfalnego do Panteonu — to jakby karta wyjęta ze świetnych a jednak urzeczywistnionych marzeń wieszczki nieśmiertelnego — dowód, że jednak był pierwiastek realny nawet w tytanicznych fantazjach wielkiego poety. Pogrzeb jego był całkiem cywilny. Viktor Hugo zmarł bez pojednania się z Kościołem katolickim i bez spowiedzi, mimo usilnych starań w tym względzie posła biskupa Frepela i arcybiskupa Paryża kardynała Guiberta, który w liście pisanym do rodziny poety ofiarował się sam wypowiedzieć go i udzielić mu ostatnie namaszczenia. Rodzina propozycji tej nie przyjęła, opierając się na wyraźnej woli umierającego.

W olbrzymim orszaku pogrzebowym Hugona szły wszystkie władze Republiki z wojskiem wszelkiej broni na czele oraz niezliczone zastępy przeróżnych korporacji i stowarzyszeń ze sztandarami swojemi. Nietylko bowiem Francja, ale cały świat cywilizowany wysłał na tę uroczystość swych przedstawicieli i wieńce. Urzędowe wykazy podają liczbę osób idących w pochodzie na 800.000; przypatrywało się tej uroczystości przeszło milion ludzi. Defilada cała owego orszaku trwała sześć godzin.

W wigilję pogrzebu, w niedzielę o samym świecie, nabalsamowane zwłoki poety złożone zostały do dwóch trumien, metalowej i dębowej i przeniesione z mieszkania zmarłego przy Avenue Victor Hugo przez Avenue d'Eylau, która dziś w całej długości nosi miano wielkiego poety, na Plac Gwiazdy i złożone tam na wysokim katafalku, ustawionym pod arkadą Arc de Triomphe, zbudowaną z kamienia na pamiątkę zwycięstw napoleońskich i wznoszącą się na środku placu, z którego na wszystkie strony rozchodzą się promienie szerokich ulic, obsadzonych drzewami. Łuk i plac cały na tę uroczystość zostały odpowiednio przybrane. Łuk ostonięty został festonami krepy, zatknięto

przytem po bokach, na wysokich drzewcach, przybrane krepą chorągwie o barwach narodowych. Na żelaznych słupach z latarniami, stojących naokół placu, umieszczono napisy wszystkich ważniejszych utworów Victora Hugo, w otoczeniu chorągwi i krepy; latarnie na placu, równie jak i na całej drodze, którą miał przebyć pochód, zostały osłonięte krepą i zapalone. Na Łuku widniał napis: „Francja w żałobie Viktorowi Hugo“. Katafalk, przybrany w barwy żałobne, miał na przedzie medaljon Republiki z napisem: *liberté — égalité — fraternité*, obraz słońca w promieniach, srebrne liście i palmy uzupełniały te ozdoby. U stóp katafalka złożono wiele wieńców i ustawiono straż honorową, złożoną z gwardji republikańskiej, bataljonów szkolnych i deputacji. Łuk cały otaczał wieniec konnej gwardji municypalnej, pozatem zaś krążyły całą niedzielę i noc następną, aż do rozpoczęcia się uroczystości pogrzebu, niezliczone tłumy publiczności. Nocą zapalono światła; kirasjerzy, którzy zmienili gwardję, trzymali w ręku zapalone pochodnie, których światło odbijało od ich lśniących pancerzy.

Od godziny 9-ej rano, w poniedziałek 1 czerwca, zaczęły napływać na plac Gwiazdy deputacje pogrzebowe z wieńcami, otaczając Łuk triumfalny i przylegające ulice. Następnie przybyły władze cywilne i wojskowe, Izba poselska, senat, rada miejska i deputacje władz z prowincji. O godzinie 11-ej rozpoczęła się pogrzebowa uroczystość oficjalnymi przemówieniami. Przed innemi zabrał głos Goblet, minister oświaty, podnosząc w świetnej mowie znaczenie Viktora Hugo dla Francji i całej ludzkości. Mówca stawił w nim nietylko wielkiego poetę, lecz i wielkiego obywatela. Wspominając o tem, że wiek nasz będzie nosił nazwę „wieku Viktora Hugo“, jak poprzedni był „wiekiem Woltera“, mówił że wcielił on w siebie cały wiek dobiegający kresu wraz z jego sprzecznościami, wątpieniami, ideami i aspiracjami. Z kolei przemawiali u stóp Triumfalnego łuku: prezydent senatu Le Royer, prezydent Izby Floquet, Augier w imieniu Akademii francuskiej, Lefèvre wiceprezydent rady generalnej dep. Sekwany, Michelin prezydent rady miejskiej Paryża.

Po wypowiedzeniu tych mów, muzyka gwardji republikańskiej zagrała marsz żałobny Szopena, trumna zdjęta została z katafalku i umieszczona, zgodnie z życzeniami poety, na zwykłym „karawanie biednych“ zaprzężonym w dwa kare konie. Z otaczającą wspaniałością, kontrast iście hugonowski. Wszyscy wtedy obecni odkryli głowy. Była to najbardziej uroczysta chwila pogrzebu. Przy odgłosach Marsyljanki, Chant du Départ i hymnu żyryndystów, ruszył następnie ku Panteonowi orszak pogrzebowy, kierując się przez Pola Elizejskie, Plac Zgody, Most Zgody, bulwar St. Germain, bulwar St. Michel i Suflot, nośzący nazwę budowniczego tego przybytku chwały.

Otwierał pochód szwadron konnej gwardji Paryża, następnie komendant Paryża generał Sausier, w otoczeniu swego

sztabu i wyższych oficerów; za nimi pułki kirasjerów w lśniących zbrojach. Dalej szli dobosze trzech pułków piechoty, bijąc zlekka w zawołowane bębny żałobną pobudkę. Szły następnie bataljony szkolne bez broni, konwojując wspaniałe rydwany z wieńcami. Było ich dziesięć. Zaprzężone w cztery konie, pokryte kirem i prowadzone przez pieszych woźniców czarno przybranych, wozy te pysznie wyglądały; były to góry z artystycznie ułożonych wieńców, z kwiatów i zieleni, pokrytych wstęgami i napisami. W pewnem oddaleniu postępował zaprzężony w sześć koni rydwan Algieru, zarzucony pięknymi wieńcami z kwiatów i palm egzotycznych.

Za rydwanami szła zaraz deputacja rodzinnego miasta poety Besançon, z wieńcem. Potem reprezentanci prasy francuskiej i zagranicznej, delegacja Stowarzyszenia dziennikarzy republikańskich niosąca wieniec prasy, delegacje artystów dramatycznych, Stowarzyszenia literatów. W całej tej części orszaku, szpaler tworzyły młodziutki bataljony szkolne, reprezentowane na pogrzebie w liczbie dwóch tysięcy tych małych żołnierzy.

Poza tem jechał skromny karawan ze zwłokami poety. Za karawanem szedł wnuk poety Jerzy, bratanek jego Leopold i bliscy przyjaciele zmarłego.

Za gronem najbliższych szli przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych. Na czele ich generał Pittié, reprezentujący prezydenta Republiki, mając po obu bokach prezydentów Izby poselskiej i Senatu, dalej w komplecie członkowie Izby, Senatu, Akademii francuskiej i przedstawiciele wielu innych władz, wszyscy w paradnych uniformach. 1500 oficerów rezerwy przyłączyło się do orszaku. Departament Sekwany wysłał 40 delegatów z łona rad municypalnych; za nimi postępowały liczne deputacje straży ogniowych. Kolonje francuskie wysłały wieńce, Agier deputacje. Kolonje francuskie za granicą również były reprezentowane. Szły dalej deputacje zagraniczne, szkół francuskich, Stowarzyszenia strzeleckie i ratunkowe, Izby syndykalne, Stowarzyszenia wolnomyślne (libres-penseurs), Łoże masonskie, a wreszcie Stowarzyszenia muzyków i śpiewackie. Orszak zamykał pułk dragonów, szwadrony gwardji Paryża i pułki liniowe. Wszystkie delegacje niosły wieńce, niektóre z nich nadzwyczaj wspaniałe i kosztowne; orszak przerywały orkiestry grające marsze żałobne i hymny patriotyczne, szczególnie Marsyljanke. Wojsko defilowało w paradnych uniformach, pod bronią i z rozwiniętymi sztandarami. Salwy armatnie powtarzały się przez cały czas pogrzebu.

Liczne instytucje i stowarzyszenia zagraniczne nadesłały wieńce i deputacje. Przed pogrzebem już depesze telegraficzne nadchodzące ze wszystkich stron świata donosiły o wrażeniu, jakie wywarła wiadomość o zgonie poety w mnogich ogniskach cywilizacyjnego życia i jak przyjęła ją prasa miejscowa. Liczne adresy, nadchodzące zewsząd, w wyrażeniu żalu i hołdu nadpły-

wały pod adresem rodziny poety. Adresy te ogłaszał „Rappel“, dziennik który był własnością Viktora Hugo, zapełniając niemi całe swe szpalty. Delegacje z Polski wysłały Stowarzyszenia czytelni akademickich uniwersytetów Krakowa i Lwowa.

Cała droga, przez którą przechodził orszak pogrzebowy, zajęta była przez niezliczone tłumy publiczności. Nietylko miejsca na chodnikach, lecz okna, dachy i wszystkie wogóle miejsca, z których można było coś widzieć, zostały zapełnione. Nie darowano drzewom, wysadzonym wzdłuż całej drogi, kioskom, a nawet latarniom; wszystko to roiło się ludzkim mrowiskiem. Za okna w widoku na orszak, a szczególnie za balkony płacono setki a nawet tysiące franków. Na chodnikach przedsiębiorcy prywatni porobili całe rusztowania z desek, wózków i drabin, ustawiono krzesła gdzie można; za miejsca te brano po 5, 10 i 20 franków. Wielu ciekawych nocowało pod gołym niebem, pragnąc zachować dobre miejsca na dzień jutrzejszy. Sekwana w pobliżu mostu, przez który przechodził orszak, roiła się statkami, czółnami, a nawet tratwami i improwizowanymi rusztowaniami.

Po przybyciu zwłok wieszczą na plac Panteonu i wystawieniu trumny na przygotowanym katafalku w portyku tego przybytku, wypowiedziano znów liczne mowy. Przemawiali tu głównie koledzy zmarłego po lirze i piórze. Zainauguował te mowy p. Oudet, mer rodzinnego miasta poety. Mówili następnie: Madier de Montjou, członek izby poselskiej, Henryk de Bornier imieniem Towarzystwa autorów dramatycznych, Juljusz Claretie imieniem Stowarzyszenia literatów, Ludwik Ulbach od międzynarodowego Stowarzyszenia literacko-artystycznego. Przemawiali jeszcze: Leconte de Lisle w imieniu poetów, Got imieniem artystów dramatycznych, oraz pp. Edouard, Jourde, Massarini. Jeden z młodzieży przemówił pod koniec w imieniu studentów francuskich.

Po wygłoszeniu tych mów, spuszczo trumnę do katakumb pod Panteonem.

Rada miasta Paryża wkrótce potem uchwalita usunąć krzyż z kopuły tej świątyni narodowej, jako symbol obrażający pamięć wielkich zmarłych tam pochowanych.

Jest to znak czasu, głębokiej myśli pełen. Sława Viktora Hugo sięgała szeroko, dzieła jego budziły zajęcia w całym cywilizowanym świecie, a że był to istotnie wielki wojownik myśli, więc wszędzie ma tłumy namiętnych wielbicieli i niemniej namiętnych wrogów. Konieczna to własność każdego niepospolitego umysłu. Wszystkie organa europejskiej prasy, na wieść o skonie Viktora Hugo, głos podniosły. Każdy głębiej myślący człowiek rozumie to jasno, że działalność poety, który tak wielki wpływ wywierał na własny naród i na współczesnych, sądzić wyłącznie z literackiego stanowiska, byłoby to brać na uwagę samą formę, a pomijać jej ducha, pierwszeństwo dawać temu, co jest prze-

mijające, zmienne nad tem, co wiekuiste i nieśmiertelne. Aby wielkich poetów sądzić sprawiedliwie, trzeba ich przedewszystkiem sądzić ze stanowiska wielkich interesów narodu i ludzkości.

Viktor Hugo obdarzony był niezwykłym poetyckim geñjuszem, lecz serce jego było większem od jego geñjusu. Poezja była dla niego tylko środkiem, orężem. Gdy przychodził na świat, natura czarodziejka ten miecz archanielski włożyła mu do kółki, więc też i w pacholęcych już latach chwycił go do ręki i usiłował podźwignąć. Gdyby żył w innych czasach, w innem otoczeniu i w darze od natury otrzymał tylko to wielkie, kochające serce, które tak głęboko boleje nad wszystkimi — co cierpią i takim strasznym oburzeniem pała przeciwko tym wszystkim — co krzywdzą, to być może zginąłby na stosie jak Hus, lub Savonarola. Urodzony poetą, urodzony we Francji, w pierwszych brzaskach XIX w., stał się najpotężniejszym poetyckim wyrazem narodu swego i czasu, nieustraszonym wojownikiem myśli, zwiaśtunem lepszej przyszłości. Wyższe warstwy francuzkiego narodu, odznaczające się wytwornością smaku, podziwiają artyzm wielkiego poety, niezwykłą podniosłość jego myśli, nadzwyczajną potęgę słowa i zdumiewające oryginalnością pomysły. Lud mierzy go sercem: wielbi poetę, gdyż w utworach jego znajdują odbicie własnych uczuć, pragnień i myśli — też same porywy zapału, też same burze namiętnych uniesień, toż samo wielkie, gorące pragnienie powszechnej sprawiedliwości, powszechnego braterstwa... jak w cudownem zwierciadle, z dumą i zadowoleniem, rozpoznaje swe własne oblicze.

Niedość na tem — serce i wyobraźnia wielkiego poety znajdowały się zawsze z sercem i wyobraźnią francuzkiego ludu w tak ścisłej harmonji, że jak lud z natury swego charakteru, z temperamentu nie umie zachować właściwej miary ani w uwielbieniach, ani w nienawiści, tak też i on, uderzając w struny lutni, w takt ludowego serca, tylko najwyższe i najniższe umiał wydobywać z niej tony; znał tylko miłość bez miary i nienawiść bez granic.

Viktor Hugo ma tenże sam ludowy temperament uczucia; w sądach swoich nie zna półtonów, przejść i półcieni; u niego wszystko jest ostatecznością, jaskrawem światłem lub ponurą ciemnością, występkiem lub cnotą, chwałą lub hańbą; dla niego na świecie istnieją tylko bohaterowie lub zdrajcy, a „Kapitol“ — mówiąc słowami Mirabeau — stoi obok Tarpejskiej skały.

Z tej to przyczyny, antyteza jest ulubioną formą jego myśli — antyteza namiętna niepohamowana nietylko w stylu, lecz i w samym pomysle utworów, w charakterach kreślonych postaci i w samym sposobie ich malowania. Rzeźby można że na wszystko patrzy oczami ludu i sercem ludu wszystko sądzi. Ztąd też gdy maluje cnotę i niewinność, używa najczystszych słonecznych blasków, gdy kreśli obraz zbrodni, po najczarniejsze kolory do głębin piekiel siega — jest on nawskrość odbiciem

francuzkiego ludu i dlatego tak namiętym w sądach, tak nieubłaganym w konkluzjach, tak niepohamowanym w uniesieniach.

Niektóre utwory Viktora Hugo, jak np. Ernani, Marion Delorme, Król się bawi i Torquemada, są w gruncie antytezami, przedstawionymi pod dramatyczną formą, a uderzające przeciwieństwo sytuacji i charakterów, główną przyczyną tych silnych wrażeń, jakie sprawiają na widzach.

Francja, od stu lat przeszło, pracuje nad rozwiązaniem najtrudniejszych społecznych zagadnień, wytyka nowe drogi postępu, otwiera dla ludzkiej myśli nieznanе przedtem szlaki. W całej dziedzinie ducha odbywa się tu wielki akt przeobrażenia, na którego dokonanie, być może, pracy kilku wieków potrzeba. Viktor Hugo brał żywy zawsze udział w tym ruchu, odczuwał jego doniosłość, a chcąc jedynie potęgą uczucia rozwiązać wszystkie trudności, zapędzał się czasem na bezdroża, z których nie było wyjścia, lub wzlatał w mgliste krainy, w których myśl jego ginęła w chmurach poetyckiego mistycyzmu, ale i w takich momentach szalonego lotu nie tracił on z oczu wielkiego celu, do którego dążył nadaremnie, a na dnie najfantastyczniejszych jego pomysłów — błyszczący zawsze czysty diament powszechnego przebaczenia i powszechnej miłości.

W „Legendzie Wieków“ wypowiedział się z tej wielkiej tęsknoty do światła, z palącego pragnienia sprawiedliwości. Stał on po stronie tych, którzy wierzą, że postęp jest wiekuisty i niema granic, że wszystko się przeradza i przetwarza, że najużyteczniejsze ustawy, pojęcia i tradycje z postępem czasu rdzewieją i zbawienną moc swoją tracą; że człowiek ma prawo marzyć o powszechnem szczęściu, a wierząc w te wzniosłe ideały, tę błogą, lepszą przyszłość proroczą pieśnią zwiastował.

Wielka ta podniosłość myśli i nadzwyczajna szlachetność uczucia, nadawała utworom Viktora Hugo wyjątkowe znaczenie. Każdy nowy poemat oczekiwany był z ciekawością i niepokojem — każdy ukazywał się na horyzoncie, jako wspaniałe, nieznanе przedtem zjawisko. Błyskawice jego myśli rozjaśniały widnokrąg świata — pioruny słowa wstrząsały nim do głębi. On to jeden z pomiędzy wieszczów na takiej stanął wyżynie, że jeszcze za życia ogólnej czci stał się przedmiotem. Jako mocarzowi ducha, składano mu hołdy; największe współczesne znakomitości z poszanowaniem skłaniały głowy przed siwowłosym wieszczem; miasta i całe narody wysyłały doń deputacje, a gdy wybiła ostatnia godzina, rzec można, iż wśród powszechnego żalu, jak cudny meteor, zgasnął w promieniach swej chwały.

Po długiej modlitwie na stopniach Panteonu resztę dnia poświęciłem zwiedzeniu słynnego „Jardin des plantes“, jego bogatych zbiorów przyrodniczych: mineralogicznych, botanicznych i zoologicznych. Po południu tegoż dnia zwiedziłem jeszcze Pałac Luxemburski i jego galerje sztuki nowoczesnej. Po wypoczynku w cieniowym ogrodzie otaczającym pałac po wczesnej kolacji

wieczorem, pośpieszyłem na drugą stronę Sekwany, na wielkie bulwary paryskie pełne ruchu i życia, do Pałacu Opery, gdzie wystawiono „Lohengryna“ Wagnera.

Nazajutrz dzień był gorący, więc miałem chęć wypić parę szklanek mleka świeżego na śniadanie. Idąc z hotelu upatrywałem jakiej mleczarni, lecz nigdzie jej nie spotykałem podrozie. Wreszcie wstąpiłem do sklepu z dużą wystawą w oknie: różnych serów, masła, jaj. Zapytałem o mleko młode sklepowe, które się rozeźmiały na moje pytanie, i odpowiedziały, że wcale mleka nie mają. Zniecierpliwiony zawołałem: Powiedźcież mi moje panie, z łaski swojej, gdzie u pioruna mógłbym dostać szklankę świeżego mleka? — W każdej winiarni, mój panie, ot i tam na-przeciwko, niech pan spróbuje! I rzeczywiście przez szeroko otwarte drzwi od ulicy wszedłem do bufetu, na którym obok szeregów butelek win i likierów, stała duża karafka z mlekiem. Usiadłem przy stoliku marmurowym. Kelner przyniósł mi duży kufel z nóżką i ową karafkę mleka. Kazałem podać jeszcze parę bułek i sera. Zapłaciłem niedrogo i poszedłem orzeźwiony dalej. Wskoczyłem w przschodzący tramwaj, i dojechałem wprost do Lasku Bulońskiego. Tam wagonik kolejki elektrycznej dowiózł mię błyskawicznie do pięknego ogrodu zoologicznego t. zw. „Jardin d' acclimatation“, otwartego codzień dla publiczności za opłatą 1 franka. Dla rozrywki dzieci odbywa się tam jazda konna na kucykach, słoniach, wielbłądach i strusiach. W krowiarni wzorowej, z rozlicznymi rasami bydła, sprzedawano mleko świeżo dojrane, ale drogo: po pół franka za filiżaneczkę. Są tam także i stajnie, wielkie kurniki, gołębniki, królikarnie i t. p. dla aklimatyzacji różnych nowych gatunków i ras. Baseny fok i lwów morskich z karmieniem w godzinach oznaczonych. Z Lasku Bulońskiego około jeziora wyszedłem przez aleję środkową do Pałacu Trokadero, budowli nowoczesnej z r. 1878, gdzie w olbrzymiej sali głównej odbywają się wielkie koncerty, a w długich skrzydłach bocznych mieszczą się zbiory etnograficzne i muzeum rzeźby porównawczej. Po zwiedzeniu pobliskiego Gmachu inwalidów z grobowcem Napoleona Wielkiego, wieczór spędziłem w Teatrze Chatelet, gdzie wystawiono wielki dramat „Assommoir“ według słynnej powieści Zoli, ułożony w dziewięciu obrazach przez pp. Gastineau i Busnacha, z realizmem godnym mistrza.

Następnego dnia po śniadaniu w kawiarni bulwarowej, zaszedłem do redakcji dziennika „L' Intransigeant“, gdzie otrzymałem obfite materiały dotyczące współczesnej prasy francuskiej, oraz informacje co do sesji parlamentu. Około godziny 10-jej udałem się na Quai d' Orsay do Palais Bourbon, gdzie po przedstawieniu w kancelarji moich listów polecających, jako redaktor polski otrzymałem kartę wstępu na galerję Izby deputowanych. Nastrój obrad był spokojny i poważny, w sprawach podatkowych, więc nie czekając końca posiedzenia wyszedłem na obiad do pobliskiej restauracji. Przy stoliku na werandzie

napiisałem do Ma, donosząc o bliskim powrocie do Nicei, kartę pocztową, którą oddałem poleconą w biurze poczty mieszczącym się w tymczasowych barakach drewnianych przy Pałacu Tuileryjskim, jeszcze nieodrestaurowanym po ostatnim pożarze.

Po wczesnej kolacji i przejrzeniu świeżych dzienników wieczornych, udałem się pieszo na ulicę Richer do słynnego teatru „Folies Bergères”. Niewielka sala urządzona z komfortem, z miękkimi chodnikami, tłumiącymi odgłos kroków, była już wypełniona publicznością przeważnie męską. Po zwykłych występach kabaretowych śpiewaczek podkasanych i humorystów groteskowych, popisywał się tam bruchomówca w rozmowie z kilkunastu głowami sztucznymi, które mu niby odpowiadały na jego pytania. Główną atrakcją wieczoru były foki tresowane, pływające w wielkim basenie z wodą morską. Foki w czapeczkach fantazyjnych włożonych nabakier i podpiętych pod gardłem, paliły fajki, puszczając dym zawadjacko, potem grały na skrzypeczkach przed pultem z nutami, wreszcie zaprężone do małej łódki z dziećmi impresarja, ciągnęły ją żwawo naokoło basenu przy gromkich oklaskach widzów. Nie czekając końca przedstawienia, po przerwie środkowej, precyzyjnie się przez szeregi palaczy i eleganckich kokotek, wyszedłem powoli na ciche i puste ulice, przez które dostałem się do mego hotelu.

W sobotę rano, zaraz po wczesnym śniadaniu, pojechałem tramwajem przez Bulwar sebastopolski do Pont au Change, i tam w przystani Sekwany lekkim parowcem osobowym popłynąłem wzdłuż rzeki do Saint Cloud. Po kąpieli rzecznej i po obiedzie na werandzie wielkiej kawiarni, zakupiłem świeże gazety w kiosku i całe popołudnie spędziłem w cieniście parku zamkowym z pięknymi kaskadami. Późnym wieczorem tą samą drogą wróciłem parowcem do miasta na wielki bal maskowy w „Jardin Bullier” rzeźbiście oświetlonym, przybrany czardziejsko w różnobarwne lampjony chińskie rozwieszono wśród palm egzotycznych, gdzie setki par tańczyło tłumnie przy dźwiękach wielkiej orkiestry. W łóżach panowie i zamaskowane damy wielkiego świata lornetowały ciekawie wyuzdane figury kankana wykonywane przez damy z półświata. O północy wróciłem do mego hotelu, by się wyspać do dalszej podróży powrotnej.

W niedzielę 26 lipca po śniadaniu i zapłaceniu rachunku w Hotelu d' Amiens, dorożką jednokonną wyjechałem za Sekwaną wprost na główny dworzec Kolei lyońsko-śroziemnomorskiej. Dzień był pogodny, ciepły. Pociąg kurjerski przebył szybko szeroki grzbiet działu wód Sekwany i dolinę Rodanu, po dłuższym postoju w Lyonie, pędził dalej nocą na południe. Na wielki dworzec Marsylji przybył wczesnym rankiem. W wielkim gabinecie męskim z pięknymi umywalniami z białego marmuru, z przyborami toaletowymi na konsolach zwierciadeł, orzeźwiłem się zimną wodą rokosznie. Po śniadaniu w olbrzymiej poczekalni, ruszyłem dalej w drogę tym samym pociągiem sło-

niecznym wybrzeżem Riwiery francuskiej przez Tulon i Cannes do Nicei.

Ma, zawiadomiona listownie o moim przyjeździe, oczekiwała mię z herbatą w cienistej altanie naszego parku nad morzem.

Nazajutrz wybrałem się z Ma naszą szalupą na morze na połów ryb, z wędkami ręcznymi. Po powrocie do domu z obfitą zdobyczą, zaprosiłem naszych gospodarzy państwa Truchich i sąsiada pana Fevrier na kolację złożoną: ze świeżych ostryg, homarów, ryb, serów z winami krajowemi, z kawy czarnej i likierów.

Wkrótce po powrocie moim z podróży, przybył do Nicei z Paryża właściciel pałacu i parku naszego p. Lefèvre, dla pertraktacji co do ich sprzedaży zgłaszającemu się nabywcy. Był nim bogaty generał-inżynier francuski, dowódca artylerji i fortów pogranicznych okręgu nicejskiego i Alp nadmorskich. Po dojściu do skutku tej tranzakcji, nowy właściciel zawiadomił wszystkich lokatorów pałacu, że zajmie go w całości na mieszkanie dla siebie ze swoją rodziną i służbą.

Wobec tego postanowiłem powrócić do Warszawy, mojej dawnej siedziby. Powoli zacząłem z Ma pakować rzeczy mniej potrzebne do skrzyń drewnianych, leżących w składzie obok naszego mieszkania.

W tym samym czasie wpobliżu naszego parku po drugiej stronie głównej szosy nicejskiej, wiodącej do Villafranki, zaczęto budować wielką willę z teatrem prywatnym znakomitego dramaturga francuskiego Wiktoryna Sardou. Teatr ten miał służyć wyłącznie tylko dla wykonywania prób utworów słynnego autora, który na swoich dziełach scenicznych dorobił się wielkiego majątku. Sardou uważał zatokę nicejską z jej panoramą Alp i wybrzeży morskich za najpiękniejszy krajobraz świata. Dla wyrównania placu i przygotowania fundamentów na twardych skałach wysadzano minami dynamitu całe odłamy kamienne z wielkim hukiem. Były to jakby vivaty triumfalne na cześć nowej świątyni muz.

Na kilka dni przed wyjazdem, w prefekturze portu Nicei przepisałem tytuł własności mojej szalupy żaglowej na pana Truchiego, i z nowem świadectwem jego jako kapitana tego statku, z wszystkiemi przyborami podarowałem mu go, wywdzięczając się w ten sposób za jego uprzejmość podczas całego naszego pobytu. Państwo Truchi przenieśli się do mieszkania przy swojej pracowni rzeźbiarskiej w mieście. Także państwo Fevrier do mieszkania przy Agencji Kompanji transatlantyckiej i swego Biura spedycyjnego.

W tymże czasie w południowej Francji zaczęła powoli rozszerzać się epidemja cholery, głównie w miastach portowych, w Marsylii i Tulonie pobliskim. To skłoniło mię do przyspieszenia naszego wyjazdu. Dokończyłem pakowanie kilkunastu skrzyń z rzeczami i czasopismami z Wystawy nicejskiej dzienni-

ków, i oddałem do Biura spedycyjnego p. Fevrier, dla wysyłki tranzito frachtem towarowym jako tanim wprost do Warszawy. Pozostawiliśmy sobie z Ma tylko dwa sakwojaże ręczne z rzeczami niezbędnymi w podróży.

Nowonabywca pałacu generał artylerji przybył też wkrótce z całą rodziną i służbą dwoma powozami, i zajął wszystkie apartamenty z wozowniami i stajniami. Nam udzielił uprzejmie na parę dni przed wyjazdem pokoił gościnny umeblowany w kopule pałacu na terasie dachowym, skąd przepiękny był widok na morze i całą okolice.

Powrót nasz do kraju w porze letniej był najwłaściwszy. Albowiem po dłuższym pobycie w ciepłym klimacie południowej Francji mogliśmy przez całą jesień przywyknąć powoli do chłódów i mrozów naszej ostrej zimy. Pobyt paroletni na Riwjerze w czystym łagodnym powietrzu Alp nadmorskich wpłynął na zdrowie Ma doskonale. Ja także przez częste kąpiele morskie, forsowne wiosłowanie, walkę z burzliwą falą oraz wycieczki górskie rozwinąłem znakomicie moje siły fizyczne i orzeźwiłem umysł — a morze pokochałem tak, że zawsze za niem tęsknię!

Po uprzednim pożegnaniu znajomych, w piękny pogodny dzień 16 sierpnia 1885 roku, poczciwy garbusek Batiton, stróż naszego pałacu, wczesnym rankiem sprowadził nam z miasta wygodne lando, i na pożegnanie ofiarował Ma przepyszny bukiet z róż i tuberoz wonnych. Przez bulwar nadmorski i Avenue de la Gare dojechaliśmy na główny dworzec kolejowy Nicei. Kupiłem dwa bilety klasy III wprost do Medjolanu. Wkrótce wtoczył się wielki pociąg kurjerski kolei paryzko-śródziemnomorskiej pod szklany dach dworca, i po krótkim postoju wyruszył w dalszą drogę. Francuskie wagony klasy III-ciej są wszystkie miękko wyściełane; podłoga jednak i ściany ich z powodu epidemji cholery były wymyte świeżo karbolem, którego silny odór unosił się wszędzie w powietrzu. Wobec tego wonne róże i tuberozy wielkiego bukietu Ma przydały się nam bardzo. Wkrótce minęliśmy naszą pierwszą siedzibę na Riwjerze Villafrankę nadmorską, dalej Monaco i Monte-Carlo, gdzie z kolegą Stanisławem Neufeldem przegraliśmy niedawno całe 5 franków! Ma z oddali podziwiała wspaniałą Pałac gry, i żałowała teraz że nie wzięła udziału w mojej pobożnej pielgrzymce do tej świątyni Fortuny.

Na ostatniej stacji przed granicą francusko-włoską w Ventimilji otoczyło nasz pociąg mnóstwo przekupniów z owocami. Nabyłem cały koszyk prześlicznych wisien na dalszą drogę. Za ledwie jednak dojechaliśmy na komorę włoską, aliści żandarmi i służba kolejowa zaczęła konfiskować z powodu epidemji wszelkie owoce u pasażerów, i mój koszyk wisien także. Najwidoczniej przekupki i przekupnie owoców na stacji francuskiej były w zмовie ze służbą kolejową, która zapewne owoce skonfiskowane oddawała im napowrót dla ponownej sprzedaży i konfiskaty, aby handel szedł!

Na komorze granicznej włoskiej odbywały się formalności sanitarne z powodu cholery we Francji południowej. Bagaże podróżnych poddawano dezynfekcji. Dyrektor miejscowego urzędu sanitarnego wydawał pasażerom przepustki czyli karty imienne na dalszą jazdę t. zw. „foglio di via sanitario“ z herbem państwowym Włoch, z nagłówkiem i tekstem następującym:

„Ufficio sanitario di confine. Il Signor Stanislav Czarnowski proveniente da Nizza col treno N^o 7 del giorno d'oggi, viaggiante in III classe e stato riconosciuto sano al atto della visita medica, qui subita a norma dell'ordinanza 5 agosto corrente, e ha dichiarato di volersi recare in Milano transito. In virtu dell'ordinanza 9 agosto 1885 il latore del presente e obbligato a trasferirsi direttamente nel sudetto comune di presentarsi al suo arrivo al Sindaco e subirvi le visite sanitario prescritte. — Ventimiglia, il 16 VIII 1885. Il Dirigente l'Ufficio sanitario (podp.) Dre V. Natta*.

Po otrzymaniu tej przepustki i odebraniu bagaży z kamery dezynfekcyjnej, spożyliśmy obiad w wielkiej sali bufetowej dworca, gdzie nabyłem zapas pomarańcz i wybornych winogron na deser. Pociąg nasz po dłuższym postoju ruszył szybko w dalszą drogę wybrzeżem morskiem Rivjery włoskiej. Przez San Remo i Savonę wieczorem już o zmroku przybyliśmy do stacji węzłowej Sam Pier d'Arena pod Genuą, i przesiedliśmy się do pociągu idącego wprost do Medjolanu.

Późną nocą stanęliśmy w stolicy Lombardji. Po kolacji w tym samym hotelu co dawniej, naprzeciwko dworca głównego kolei, dano nam pokój zaciszny od dziedzińca z oknami na piękny ogród owocowy. Nazajutrz rano 17 sierpnia w poniedziałek po dłuższym wypoczynku po nocnej podróży, zaraz po śniadaniu w hotelu, Ma prosiła abyśmy poszli do katedry, wspaniałego Duomo medjolańskiego. W powszedni dzień kościół był prawie pusty. Ma modliła się długo podczas mszy w nawie bocznej. Ja rozglądałem się ponownie z rozkoszą w detalach przepysznej architektury, w harmonijnych łukach i żebrach sklepień, w koronkowych ażurach z białego marmuru przyćmionego patyną odwieczną. W drugiej nawie bocznej, na małej ambonie przyczepionej wysoko do smukłej kolumny, jakiś namiętny kaznodzieja głosem tubalnym wygłaszał długą naukę; niekiedy wyrzucał półsłowa stłumione syczące jak węże, to znów nagle ryczał, wył i walił pięściami w pult drewniany z hukiem piorunowym. Echa olbrzymiej katedry odpowiadały mu grzmotem straszliwym. Treści kazania tego trudno było pochwycić, dolatywały mię tylko urywane słowa: „diavolo, inferno, fuoco eterno!“ i t. p. kłątwy straszliwe. Nie chcąc aby mi uszy spuchły poprosiłem Ma o wyjście niezwłoczne. Pogoda była przepiękna, niebo jasne, miłe ciepło słoneczne. Na skwerze wpośród kwiecia wonnego, na ławeczce z Ma przytuloną do mnie, przy szmerze ogromnego wodotrysku, odetchnąłem swobodnie, po owych wrzaskach pie-

kielnych szanownego kaznodziei, którego słuchało cierpliwie kilka dewotek i paru drzemiących starców, odbywających swoje „dolce far niente“. Wypocząwszy nieco poszliśmy zwolna do wspaniałego pasażu krzyżowego t zw. Galerji Viktora Emanuela ze świetnymi sklepami o wielkich szybach zwierciadlanych, za któremi wpośród przeróżnych galanterji i krajowych tkanin jedwabnych Ma wybrała dla siebie parę ślicznych zarzutek na szyję, a ja szalik śnieżnobiały dla ochrony kołnierzyka od kurzu. Przed południem dla orzeźwienia wstąpiliśmy do „Kąpieli Diany“ wytwornie urządzonej za Bramą wenecką.

Po drodze do hotelu, na prośbę Ma kupiłem kilo wybor-nych winogron, kilo polędwicy, pół kilo masła, kilka pomido-rów, jaj, buljonu i białych bułek. Ma nie lubiła kuchni włoskiej, więc w naszym pokoju hotelowym, na maszynie spirytusowej w rondelku niklowym, oraz na talerzach z blachy biało emaljo-wanej przyrządziliśmy sobie wyborny obiad: po filizance buljo-nu, jaja kładzione z pomidorami, bifstek z polędwicy i wino-grona. Wszystko z produktów krajowych. Jak wiadomo kultura rolna Lombardji stoi bardzo wysoko. Kraj ten zaopatruje w mię-so, nabiał i owoce wyborne nietylko Włochy górne, ale także i sąsiednią Francję południową. Słynne jest tnm doskonałe masło „buttero di Milano“, sery parmeńskie, bydło opasowe i dorodne owoce. Także chodowla jedwabników wysoko rozwinięta. Wpośród bujnych sznirci wszędzie na polach uprawnych intensywnie widać długie szeregi drzew morwowych.

Zaraz po obiedzie wyszliśmy na przechadzkę do pobliskiego ogrodu publicznego na koncert popołudniowy orkiestry wojsko-wej nad jeziorem środkowem. Wracając do botelu kupiłem parę gazet wieczornych dla przejrzenia najświeższych nowin politycz-nych. Po wczesnej kolacji poszliśmy na spoczynek, aby o świcie wyruszyć w dalszą drogę.

Na dworcu głównym kupiłem dwa bilety na pociąg po-śpieszny wprost do Wiednia. Przez Pescierę koło malowniczego jeziora Garda i Udine pociąg nasz po południu dowiózł nas do Ponteby na granicy Austrii.

Po krótkiej rewizji bagaży na dworcu austriackim obja-śniono nas, że pociąg osobowy do Wiednia odejdzie za dwie godziny. W dusznej restauracji kolejowej lichej obiad zaceniono bardzo drogo. Dzień był słoneczny gorący, więc wyszliśmy za-raz w pobliską dolinę rzeczki Pontebany, płynącej bystro i kręto przez łąki wpośród gęstej wikliny. Ma ułożyła się wygodnie na brzegu pochyłym w cieniu. Ja pod osłoną zarośli wykopałem się w małej zatoce rzeki, poczem zaraz w pobliskiej Pontebie zaku-piłem nowy zapas wiktuałów, świeżych bułek i owoców. Na po-dróżnej maszynie spirytusowej w rondelku niklowym Ma zago-towała naprędce wodę wrzącą z buljonem i makaronem na dwa talerze; potem zrobiła na nich jaja sadzone na maśle, a po owo-cach i winogronach parę filizanek kawy czarnej. Po tym sielan-

kowym obiedzie na łące i sjeście wygodnej na słońcu, zabrawszy swoje sakwojaże, wróciliśmy na dworzec kolej, gdzie stał już pociąg gotowy do dalszej drogi. Wkrótce też ruszył pośpiesznie wąską doliną wpośród stromych skał i gór wyniosłych.

Podróżnych w wagonach zrazu było niewiele. Zajęliśmy miejsca w przedziale dla niepalących, gdzie wsiedli już pierwszej stary żyd z siwą brodą w palcie czarnem długim i młoda piękna pani z chłopczykiem kilkoletnim. Wkrótce wąska dolina rozszerzyła się znacznie i śliczne widoki alpejskie przesuwały się szybko przed nami. Chłopczyk, stając w oknie, przyglądał im się ciekawie, i często prosił po włosku swą mamę o objaśnienia. Stary żyd, słysząc mię mówiącego po polsku do Ma, zapytał mię grzecznie poprawną polszczyzną jak daleko jadę? Odrzekłem, że do Warszawy — i nawzajem zapytałem go o cel jego podróży. Odpowiedział, że wraca do Łodzi z Medjolanu, gdzie jeździł jako agent fabryki tkanin jedwabnych dla zakontraktowania materiałów surowych, a zarazem towarzyszy w podróży żonie majstra włoska, który pół roku temu otrzymał posadę w fabryce łódzkiej, i prosił go o przywiezienie żony i synka. Pani majstrowa, osoba bardzo miła i cicha, jako dobra matka zajęta była troskliwie chłopczykiem. Wieczorem wyjeła z kosza podróznego przekąski i owoce, bułki i wędlinę. Trzymając salami w rękę poprosiła swego towarzysza o nóż. Żyd bardzo zakłopotany wyjął swój nożyk podróźny i poprosił mię abym wyjaśnił włoszce, że u izrealitów prawowiernych, którym przepisy religijne zabraniają jeść wieprzowiny, nie wolno też krajać jej swoim nożem. Rozumiejąc to dobrze podałem zaraz mój nóż włoszce i objaśniłem o co chodzi. Cała ta scena wywołała ogólną wesołość, a żyd był mi bardzo wdzięczny, że uratowałem jego nożyk od strefienia. Po podwieczorku gdy zaczęło się ściemniać, włoszka ułożyła synka starannie na miękkim sakwojażu i położyła się też na swoim paltocie na ławce. Ma poszła za jej przykładem i ułożyła się do snu na ławce sąsiedniej. Ja z żydem zajęliśmy pusty przedział obok, i wkrótce cały wagon spoczywał snem sprawiedliwych.

Alpy styryjskie przebyliśmy nocą. O świcie w pobliżu Semmeringu szczyty gór zaróżowiły promienie słońca wschodzącego czarownie, podczas gdy w dolinach snuły się mgły błękitne i liljowe. Ma podziwiała tu po raz pierwszy wspaniałe wiadukty i olbrzymie tunele tej malowniczej drogi. Ja przebywałem ją raz drugi, poprzednio bowiem w r. 1882 wracałem tedy z Triestu przez Wiedeń do kraju. Syci wrażeń krajobrazowych wzięli się wszyscy do pierwszego śniadania. Podróżnych przybywało wciąż coraz więcej. Wkrótce minęliśmy tonący w bujnej zieleni winnic Baden.

Przed południem pociąg nasz stanął na wielkim dworcu południowym Wiednia. Omnibusem konnym pojechaliśmy wprost na Leopoldstadt; tam naprzeciwko Dworca północnego stanę-

liśmy w małym czystym i cichym hotelu. Na obiad poszliśmy zaraz do wielkiej restauracji pobliskiej na Prater, gdzie do sznycła wiedeńskiego podano nam wyborne kiszzone ogórki. Po przechadzce z świeżymi gazetami, wieczór spędziliśmy na koncercie w olbrzymiej kawiarni oświetlonej rżęsiście. Po długiej naszej podróży udaliśmy się wcześniej na spoczynek, by nazajutrz co-prędzej lotem ptaków stęsknionych pofrunąć do kraju. Wczesnym rankiem po śniadaniu na Dworcu kolei północnej, wziąłem dwa bilety do Trzebini, by tam przenocować, i za dnia przybyć na stację Granica.

Po krótkiej rewizji bagaży naszych na dworcu granicznym, i zawizowaniu pasportów, kupiłem dwa bilety klasy III-ej. Przy oknie kasy kolejowej żandarm rosyjski zażądał ode mnie okazania pasportu. Obejrzał go dokładnie, i zapytał dla czego niema w nim wizy i pieczęci wyjazdu za granicę. Odpowiedziałem żartem — że wyjechałem balonem! Widząc jego niezadowolenie i srogą minę objaśniłem go, że po wyjściu terminu mego pierwszego pasportu półrocznego, za którym wyjechałem, ojciec wyrobił mi nowy pasport, który okazałem, i przysłał mi go pocztą za granicę; wskutek tego nie mógł być ostemplowany przy moim wyjeździe. Dopiero to wyjaśnienie zadowoliło owego anioła stróża, i wreszcie dał mi spokój.

Pierwszym pociągiem odchodzącym zaraz wprost do Warszawy wyprawiłem Ma do jej siostry. Nieco później następnym pociągiem wyruszyłem do pobliskiego Miechowa dla odwiedzenia ojca, gdzie zastałem też i brata Miecicia, który przyjechał z Siedlisk dla załatwienia interesów i sprawunków gospodarczych.

Podano wkrótce kolację i rozmowa miła a ożywiona przeciągnęła się późno w noc — o mojej podróży i nowinach miejscowych rodzinnych. Zastałem też świeże listy od naszej Siostry Marji Pauli, która to drugie imię przybrała w zakonie Nazaretanek, do jakiego wstąpiła w Rzymie przed rokiem. A potem zamieszkała w Krakowie, w tamtejszym domu Nazaretanek z pięknym ogrodem, przy ulicy Warszawskiej, gdzie prowadzono internat dla panien nauczycielek i uczenic, kształczących się w zakładach naukowych krakowskich. Brat Mieczysław gospodarował dalej samodzielnie w Siedliskach, w starym dworze wiejskim, o 1½ wiorsty pod Miechowem, i często odwiedzał ojca w jego domu z dużym ogrodem i sadem, w którym owoce obrodziły obficie tego lata.

Ojciec obecnie cały dom frontowy oraz stajnię i wozownię murowaną od strony ulicy Ogrodowej wynajął za kontraktem urzędowym na pomieszczenie Poczty i telegrafu od 1 października r. b. 1885, za sumę 790 rubli rocznie. Dla odświeżenia całego lokalu ojciec przeniósł się stądż zaraz do oficyny w ogrodzie, którą zajął całą, t. j. salon, gabinet, przedpokój i kuchnię. Do oficyny tej dobudowano wkrótce takż sam lokal z osobnym wejściem, złożony z dwóch pokoi, kuchni i przedpokoju, oraz

dwóch piwnic, który wynajął prywatnie pomocnik naczelnika Poczty, za 110 rubli rocznie. Tym sposobem komorne przynosiło razem 900 rb., co z emeryturą rb. 600 dawało ojcu dochód 1.500 rb. wystarczający na dostatnie utrzymanie w tanim podówczas Miechowie.

Na wyjeździe dostałem od ojca w prezencie piękne futro czarne skunksowe i kosz owoców wybornych starannie upakowanych w drogę.

Po kilkodniowym wypoczynku w Miechowie pożegnałem ojca i brata, i powozem zaprzężonem w dzielne nasze siwosze, wyjechałem na pobliską stację kolei na pociąg poranny odchodzący do Warszawy.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego“, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną) opis lat dziecięcych, czasów szkolnych w Kielcach, uniwersyteckich w Warszawie — działalność oświatową i publicystyczną autora tamże, jego podróż po krajach słowiańskich, na Wschód południowy oraz na Zachód, z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.

Od Wydawnictwa
„Pamiętników S. J. Czarnowskiego”

w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

- Tom I Pamiętników, obejmujący zeszyty 1 — 6. . . złp. 1,50
Tom II Pamiętników, obejmujący zeszyty 7 — 12 . . złp. 1,50
Zeszyt 13. Czytelnia czasopism w Warszawie (1883 r.) gr. 30
Zeszyt 14. Podróż na Zachód (1884 — 1885 r.). . . gr. 30
Zeszyt 15. Pobyt na Riwjerze (1884 — 1885) . . gr. 30
Zeszyt 16. Wystawa powszechna czasopism w Ni-
cei (1884 — 1885 r.) gr. 30
Zeszyt 17. Dalsza podróż na Zachód (1885 r.) . . gr. 30

Pod prasą dalsze części:

- XI. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).
XII. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).
XIII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917),
wielka wojna europejska.
XIV. Pobyt w Kielcach (1918 — 1923 r.), oswobodzenie
i niepodległość Polski.
XV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.
-

Wydawnictwo
Pamiatnikow S. A. Ozarowski
w Krakowie ul. Teatralna 30.

Wszystkie z dzieł:

- Tom I Pamiatnikow obywateli w Krakowie 1-1840
- Tom II Pamiatnikow obywateli w Krakowie 1841-1849
- Tom III Pamiatnikow obywateli w Krakowie 1850-1859
- Tom IV Pamiatnikow obywateli w Krakowie 1860-1869

Wydawnictwo
„Pamiętników S. J. Czarnowskiego“
w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

Tom I Pamiętników, obejmujący zeszyty 1—6 . . .	zł. 3.00
Tom II Pamiętników, obejmujący zeszyty 7—12 . . .	zł. 3.00
Tom III Pamiętników, obejmujący zeszyty 13—18 . . .	zł. 3.00
Tom IV Pamiętników, obejmujący zeszyty 19—24 . . .	zł. 3.00
